



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

2
2019

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 8

WŁOCHY

TAŃCZĄCE
KANDELABRY

str. 16

USA

SZLAKIEM TYTANÓW

str. 56

UKRAINA

LEGENDY KIJOWA

Kenia BUSZUJĄCE W BUSZU

str. 94



JAPONIA
STR. 24

KAMBODŻA STR. 68
W RYTMIE SŁOŃCA

FRANCJA STR. 34
LAZUROWE ARCYDZIEŁO

POLSKA STR. 76
AGROTURYSTYKA
WULKANICZNA



ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177003 216149 02

Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



USA str. 16



POLSKA str. 76



JAPONIA str. 24



IZRAEL str. 46



KAMBODŻA str. 68

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

POZNAJ ZWYCZAJ str. 8

Tańczące kandelabry
pod wulkanem.
Ewa Cichocka

USA str. 16

W Kalifornii rosną
najwyższe, najpotężniejsze
i najstarsze drzewa świata.
Małgorzata Jarzembowska

JAPONIA str. 24

Pierwsi Polacy przeszli
Tōkai Nature Trail.
Izabela Wojno,
Michał Zieliński

FRANCJA str. 34

Lazurowe Wybrzeże
zawsze ściągało
arystokrację i bohemy,
a dziś otwiera się na
zwykłych turystów.
Elżbieta Pawełek

GEOSKOP str. 42

IZRAEL str. 46

Tajemnice Pustyni Judzkiej.
Elżbieta i Piotr Hajduk

PODRÓŻNOŚCI str. 54

Z biletem w jedną stronę.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

UKRAINA str. 56

Legendy Kijowa.
Stanisława
Budzisz-Cysewska

NAVIGATOR str. 64

KAMBODŻA str. 68

Koh Rong i Koh Rong
Samloem to wyspy
skąpane w słońcu i usypane
z drobnego białego piasku.
Adela Uchmańska

DŁUGO W DRODZE str. 74

Na wilczym szlaku.
Felieton Łukasza
Długowskiego

POLSKA str. 76

Góry i Pogórze Kaczawskie
to świetne miejsce na
wulkaniczną agroturystykę.
Piotr Geise

POLSKA NIEZNANA str. 84

Biebrzy szum.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

BRAZYLIA str. 86

Miasto Ribeirão Preto jest
jak cały kraj w pigułce.
Albert Karch

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

KENIA str. 94

Buszujące w buszu.
Rafał Sitarz

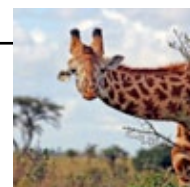
ŚLADAMI

PRZESZŁOŚCI str. 106

Jedynie takie na świecie.
Felieton Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
żyrafa w Parku
Narodowym
Nairobi, Kenia



Andrzej Rypulak

NOWA ZELANDIA

Konno po zatoce

Marcowy wieczór w zatoce Sandy Bay, znajdującej się u południowego wejścia do Parku Narodowego Abel Tasman, zachęca do konnych wycieczek. Nowa Zelandia to raj dla wszystkich kochających природę. Cudowne plaże, turkusowe morze, porośnięte bujną roślinnością wysepki, dookoła tętniący życiem busz, odgłosy ptactwa... Następnego dnia o poranku zatokę wypełni woda. Można wtedy zająć miejsce w morskim kajaku i popłynąć w kierunku pobliskiej wysepki Fisherman Island, którą zamieszkuje niewielkie stado fok.

Katarzyna Stańczyk

FRANCJA

Zapatrzony w Chamonix

Zdjęcie zostało wykonane na Montenvers, na wysokości 1913 m n.p.m. Na górę można dostać się czerwoną kolejką z ubiegłego wieku. Na szczycie najpopularniejszym miejscem jest lodowa grota Grotte De Glace, która robi niesamowite wrażenie na odwiedzających. Na tej samej wysokości znajduje się również Grand Hotel du Montenvers, gdzie można przenocować, aby mieć u swoich stóp niżej położone (1035 m n.p.m.) przepiękne miasteczko – Chamonix. Moje zdjęcie zostało zrobione dokładnie w tym miejscu.



Mikołaj Gospodarek

POLSKA

Miłość na krańcu świata

Na zaręczyny Agaty i Kuby przyszedłem z wody – wyłoniłem się w kaloszach z ciemności. Ich zdziwienie mieszało się z nutką ekscytacji. W tak ważnym dla nich momencie znalazł się fotograf z aparatem. Cały czas myślałem, że brzegiem idzie ktoś z reklamówką w ręce. Okazało się, że to zaręczynowy bukiet kwiatów. Takie historie zdarzają się czasami w filmach, a w życiu jedynie w Rewie. To naprawdę wyjątkowe miejsce nad Zatoką Gdańską.





Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



TAŃCZĄCE KANDELABRY

Ewa Cichocka



„Piersi dziewic” to popularne w Katanii ciasteczka w kształcie kobiecego biustu oraz nieco perwersyjna pamiątka po męczennicy i patronce miasta św. Agacie. Można je kupić w cukierniach przez cały rok. Ale tylko w lutym normalne życie miasta zamiera, a wielka religijna *festa* na cześć świętej trwa nieprzerwanie trzy dni. Uczestniczy w niej niemal milion Sycylijczyków. Licząca kilkaset lat tradycja jest jedną z trzech największych katolickich uroczystości na świecie.



OD ZMIERZCHU DO POŁUDNIA

Procesja główną ulicą miasta z widokiem na Etnę trwa wiele godzin. Rozpoczyna się przed katedrą o zmierzchu, a kończy około południa następnego dnia.

Sycylia to wyspa, której mieszkańcy kultywują dawne tradycje. Festy, głównie z okazji świąt religijnych czy ku czci patronów, odbywają się w wielkich miastach i w małych miasteczkach przez cały rok. Czasem sięgają do pogańskich wierzeń. W uroczystościach na cześć św. Agaty dostrzeżga się związki z dawnym kultem bogini Izdy. Tradycja ta została wpisana na listę dziedzictwa etnicznego UNESCO.

PIĘKNA AGATA

W połowie III w. n.e. Sycylia pozostawała pod rzymskim panowaniem. Mieszkancka Katanii, piękna chrześcijanka Agata, ślubowała życie w czystości i odmówiła ręki rzymskiemu namiestnikowi Kwincjanowi. Odrzucony adorator w zemście kazał jej wyrzec się wiary, a potem skazał na tortury i śmierć. Pięknej Agacie okrutnie odcięto pierś i palono jej ciało na rozżarzonych węglach.



Zmarła 5 lutego 251 r. Męczennica nazwana Agatą Sycylijską zdobyła serca swoich krajan, którzy okrzyknęli ją patronką miasta i uroczystie obchodzili rocznicę jej śmierci. Wierzyli także, że całun z jej grobu, noszony w procesji podczas erupcji wulkanu, uratował miasto przed lawą spływającą z Etny. Nawet Ryszard Lwie Serce przekazał koronę na sarkofag świętej za wstawiennictwo podczas krucjaty.

Relikwie św. Agaty trafiły w różne miejsca. Wykradzione z Sycylii, dotarły nawet do Konstantynopola. Powróciły stamtąd po niemal stu latach pewnej nocy w 1126 r. i spoczęły w katańskiej katedrze. Wówczas to mieszkańcy, na powitanie patronki, wylegli tłumnie na ulice miasta w koszulach nocnych. Na pamiątkę tej radości dzisiejsi uczestnicy festy ubierają białe tuniki – *sacco*. Początkowo uroczystości trwały jeden dzień. Aby jednak mogły w nich uczestniczyć wszystkie

dzielnice miasta, w XIV w. przedłużono je do trzech dni. I tak jest do dziś, a festa di sant'Agata co roku trwa od 3 do 5 lutego. Odbywają się wtedy nabożeństwa i procesje, a władze miasta przekazują symboliczne klucze i władzę Kościołowi. W tym czasie relikwie św. Agaty w srebrnym sarkofagu na powozie *fercolo* w tłumie wiernych odwiedzają wiele kościołów i miejsca jej męczeństwa.

Planując wyjazd na to sycylijskie święto, spodziewałam się procesji przypominających nieco nasze Boże Ciało. Festa di sant'Agata w mieście pod czynnym wulkanem przerosła moje wyobrażenia. Okazała się niezwykłym zjawiskiem, łączącym religię z folklorem przy udziale blisko miliona Sycylińczyków.

BALKON Z WIDOKIEM

Przyleciałam do Katanii w trakcie trzydniowego święta. Przejazd przez centrum miasta okazał się niemożliwy. Główna ulica via Etnea, plac katedralny i okolice były wyłączone

z ruchu. Całe miasto rozświetlały kolorowe dekoracje, a ulicami spieszyły nieprzebrane tłumy mieszkańców i przybyłych z całego świata Sycylińczyków, ubranych w białe tuniki przewiązane sznurem oraz czarne berety. Wśród nich były zarówno kobiety, jak i mężczyźni, dorośli i dzieci. Zamiast samochodów na chodnikach oraz placach rozstawiono liczne stragany ze słodkościami, świecami i dewocjonaliami. Można tam było kupić żółte świece nawet metrowej długości, medale z wizerunkiem św. Agaty, a także orzechy i jabłka w cukrze. Jedynymi pojazdami na głównych ulicach i placach były samochody policji i wojska, widoczne co kilkadziesiąt metrów.

Mój pensjonat z balkonami wychodzącymi na biegnącą od placu katedralnego via Etnea, którą miała przejść procesja, okazał się idealnym punktem do obserwacji przygotowań oraz samych uroczystości. Znalazłam go z dużym trudem, bo w terminie święta brakowało w Katanii wolnych pokoi, a co dopiero z takim widokiem. Właścicielka Francesca podczas rezerwacji pytała

MOC AGATY

Relikwie św. Agaty w srebrnym sarkofagu na *fercolo* objeżdżają miasto przez całą noc. Katańczycy podają chusty i szale, wierząc, że ich bliski kontakt z relikwiarzem nada im świętą moc.





mnie, czy wiem, że 5 lutego jest Świętej Agaty i że miasto będzie totalnie zapchane i głośnie. Zażartowałam, że wiem i na ten dzień czekałam całe życie! Na powitanie Francesca przygotowała poczęstunek z tradycyjnych w tym czasie *olivetti*. To marcepanowe zielone kuleczki symbolizujące oliwki, którymi żywiła się gnębiona przez Rzymian Agata.

Zanim zapadł zmrok, z balkonu obserwowałam polewaczki, zraszające całą powierzchnię via Etnea specjalnym płynem. Po nich z kolei pojawiły się ciężarówki, z których bardzo sprawnie wysypywano i rozrzucano miotłami trociny. Tym sposobem kilometry wyłożonych kamiennymi płytami śliskich ulic przygotowano, aby łatwo usunąć kilogramy stopionego wosku i uniknąć ślizgania się pielgrzymów i łamania kończyn. Notabene nazajutrz rano bardzo sprawnie wyczyszczono z trocin całą ulicę.

REJS FERCOLO W TAŃCU CANDELORE

Trzeciego dnia uroczystości, o zmierzchu, po specjalnym nabożeństwie w katedrze, relikwiarz ze szczątkami św. Agaty został umieszczony na powozie *fercolo* z baldachimem i wyruszył w trasę po Katanii. Srebrne popiersie Agaty w koronie ozdobiono białymi goździkami, symbolizującymi czystość świętej (poprzedniego dnia dekorowano czerwonymi, oznaczającymi męczeństwo). Przy dźwięku kościelnych dzwonów ciemniejące niebo rozświetliły barwne pióropusze sztucznych ogni, a huk petard zagłuszył i zasnuł dymem miasto na kilkanaście minut. Wśród tłumów wierznych powóz, ciągnięty za pomocą długich lin przez ubranych na białą katańczyków, płynął niby okręt najdłuższą, barokową ulicą miasta w stronę wulkanu. Przez kolejne kilkanaście godzin odwiedzał ulice, place i skwery, zatrzymując się co chwilę na kolejną modlitwę. Z okien i balkonów kamienic i pałaców, ozdobionych aksamitnymi purpurowymi proporcami z imieniem Agaty, pozdrawiali orszak mieszkańcy. Na platformie za sarkofagiem odbierano podawane przez uczestników procesji świece wotywnne. Za nią kilkunastu mężczyzn w tunikach własnymi nogami pełniło funkcję „hamulcowych”, gdyby wóz z relikwiami

nabrał zbyt dużej prędkości na wzniesieniach. Przed *fercolo* w tłumie ubranych na białą wierznych była prezentowana *candelore*, czyli tzw. parada świeczników. Dwanaście ogromnych kandelabrów z rzeźbionymi scenami męczeństwa, pełnych cherubinów i proporców, reprezentowało różne korporacje i cechy rzemieślnicze m.in. ogrodników, rzeźników i piekarzy. Były dźwigane na ramionach przez kilku lub nawet kilkunastu mężczyzn, *cannalori*, idących charakterystycznym krokiem z kołysaniem, nazywanym tańcem *candelore*. Niegdyś liczba kandelabrów była dwukrotnie większa, aby ich blask mógł rozświetlić w mrokach nocy ulice miasta.

KILOGRAMY WOSKU, CIERPIENIA I RADOŚCI

Po obu stronach ulicy, najdłuższej i głównej arterii miasta, ustawiali



FOT. EWA CICHOCKA

PIERSI DZIEWIC

Zjadanie tych ciastek to nieco perwersyjny sposób na kultywowanie pamięci o św. Agacie. Obok *cannoli* i *cassaty* to najbardziej popularny deser na Sycylii.

CIĘŻKIE JAK GRZECH

Wielkie świece dźwigają starzy i młodzi, chłopcy i dziewczyny. Dobry pątnik bierze na plecy tyle, ile sam waży.



FOT. EWA CICHOCKA

TANIEC ŚWIATEŁ

Gigantyczne kandelabry wyruszają spod katedry niesione przez *cannalari* tanecznym krokiem. Blask świeczników oświetla drogę dla *fercolo* w mrokach zimowej nocy.





się pątnicy z wielkimi świecami. Zapalali je, a kiedy procesja ruszała, gasili i kilkadziesiąt kilogramów żółtego wosku brali na plecy, aby znów oświetlać orszak w nowym miejscu. Te gigantyczne świece są dla katończyków symbolem obietnic składanych świętej i próśb do niej o opiekę. Powinny ważyć tyle, ile waży niosąca je osoba. Wydaje się, że im większy wysiłek fizyczny uczestników procesji podczas dźwigania świec i ciągnięcia sarkofagu, tym modlitwa jest bardziej żarliwa. Jakby ofiarowywali świętej swój trud i mękę. Co jakiś czas wśród tłumu wznoszono okrzyki, coraz bardziej ochryplymi głosami: – *Tutti devoti tutti. Cittadini vive Sant'Agata!* „Wszyscy pobożni ludzie. Obywatele, wiwat św. Agata”. Na placu Stessicoro, nieopodal ruin greckiego teatru, palono i topiono świece wotywnie wysokim na kilka metrów płomieniem. Tak symbolicznie czczono męki św. Agaty, torturowanej na rozżarzonych węglach.

Wreszcie zrobiło się ciemno, chłodno, zaczął padać deszcz, a rozświetlona, głośna procesja zniknęła w dymach palonych świec i mrokach długiej ulicy. Wtopiłam się w tłum głodnych. Oprócz słodczy można było tam zjeść popularną koninę z rusztu czy smażone na głębokim oleju sardynki w cieście.

Dołączyłam do procesji rano, kiedy powracała z odległych dzielnic i dotarła znów do ważnego etapu – stromej ulicy Sangiuliano. To zawsze najtrudniejsze miejsce, wymagające wiele siły i uwagi, nazywane *a cchianata* i *Sangiulianu*. Udany wjazd pod górę oznacza dla mieszkańców kolejny dobry rok, komplikacje z podjazdem są zaś zwiastunem kłopotów. Obok barokowych kościołów i klasztorów przy via Crociferi pątnikom towarzyszył płynący zza krat śpiew zakonnice benedyktynek ku czci św. Agaty. Stamtąd wycieńczeni pątnicy odprowadzili sarkofag do katedry. Potem w białych tunikach, poplamionych na ramionach i plecach woskiem, obsiadali kawiarnie i murki przy placu katedralnym. Umordowani, ale szczęśliwi, zajadali ryżowe *arancini* i pieczywo sezamowe. Nie mogłam tego dnia zjeść nic innego jak lekkie, sycylijskie śniadanie – *capuccino* i „piersi dziewic” (*minni di virgini*) ze słodkiej ricotty z wisienką na czubku. ○



Ewa Cichocka

Dziennikarka, autorka relacji oraz książek o Sycylii dla dzieci i dorosłych. Twórczyni trasy po Sycylii śladami polskich artystów. Organizatorka i przewodniczka kobiecych wypraw z Fundacji Marka Kamińskiego. Inicjatorka plenerów, wystaw i spotkań podróżniczych.

SZLAKIEM

TYTANÓW

Małgorzata Jarzembowska

Kalifornia słynie z wielu rzeczy, ale mało kto wie, że to właśnie w tym stanie zebrały się trzy drzewne „naj”: rosną tu najwyższe, najpotężniejsze i najstarsze drzewa świata. Nigdzie indziej na naszej planecie miłośnik drzew nie nacieszy tak oka – i ducha – jak właśnie tutaj, na zachodnim wybrzeżu Ameryki.

Moim planem jest objeżdżenie Kalifornii wokół. Z San Diego zamierzam ruszyć trasą nadoceniczną, dotrzeć do Oregonu i z powrotem zjechać na południe, okrążając San Francisco, drogą wschodnią, pomiędzy górami. W tym momencie wcale jeszcze nie myślę o odwiedzeniu trzech drzewnych „naj”. To, że tak się stanie, będzie dziełem przypadku.

WIECZNIE ZIELONE OLBRZYMY

Parę godzin po minięciu San Francisco na autostradzie US 101 robi się pusto. Jest wrzesień, słonecznie i ciepło. Kalifornia nie na darmo jest zwana złotym stanem. To aluzja nie tylko

jednolitymi, zwartymi lasami. Wjeżdżam w krainę sekwoi wieczniezielonych, najwyższych drzew świata. Po przejechaniu Eureka i zrobieniu małej przerwy nad oceanem na pięknej plaży Trinidad nareszcie dojeżdżam do Parku Narodowego Redwood. Parkuję samochód i od razu wybieram się na spacer.

Trudno jest opisać wrażenie, jakie wywierają te niesamowite drzewa. Rosną wszędzie wokół, nie dając żadnych szans innym gatunkom. Często widać jedynie olbrzymie, proste, brązowe pnie. Ich korona może zaczynać się na wysokości 50 m. Kolosy te obramowuje zieleń gałęzi młodszych osobników. Jedynie posycie leśne jest trochę zróżnicowane, chociaż na ogół przeważają duże paprocie i zajęczy szczaw.

Sekwoja wieczniezielona (*Sequoia sempervirens*, ang. *redwood*) naturalnie rośnie tylko w wąskim, 10–60-kilometrowym, długim na 750 km, nadmorskim pasie zachodnich Stanów Zjednoczonych. Jeszcze 150 lat temu porastała większą część wybrzeża środkowej i północnej Kalifornii oraz południowego Oregonu. Dzisiaj pozostało tylko 5 proc. jej oryginalnego drzewostanu. Do przeżycia potrzebuje deszczowo-mglistego klimatu, nie lubi mrozu. To zaskakujące, że z nasienia wielkości nasionka pomidora i szyszki rozmiaru oliwki wyrastają najwyższe drzewa świata.

Tu, w Parku Narodowym Redwood, rośnie gigant numer jeden, Hyperion, mierzący 116 m. Został on odkryty w 2006 r. Ocenia się, że ma 700–800 lat, a jego lokalizacja jest trzymana w tajemnicy. Co natomiast można zobaczyć, to olbrzymy w gaju Tall Trees Grove w okolicach Orick. Aby do nich dotrzeć, należy zaopatrzyć się w przepustkę w centrum turystycznym, dojechać do szlaku, a następnie

do odkrytego tu złota, ale również do pofałdowanych wzgórz pokrytych wyschniętą trawą. Pięknie wyglądają one zwłaszcza w promieniach zachodzącego słońca.

Po kilku godzinach jazdy w takiej scenarii krajobraz zaczyna się zmieniać. Przybywa drzew i stromych pagórków pokrytych



jeszcze przejść około 6 km, stromo schodząc w dół do zagajnika. Szlak jest niepowtarzalny.

Jadąc dalej na północ, docieram do granicy z Oregonem. Po noclegu na prawie pustym kempingu przy Crescent City wczesnym rankiem wyruszam do mniej znanego Parku Stanowego Jeddiah Smith Redwoods. W porannym półmroku wjeżdżam na szutrową, wijącą się drogę. Na niektórych ciasnych zakrętach jest ona tak wąska, że samochód prawie dotyka kolosów. Nie ma tu prawie nikogo, spotykam jedynie dwie osoby. Mam wrażenie, jakbym przebywała w zupełnie innym, bajkowym świecie leśnych olbrzymów.

Po niezapomnianych przeżyciach w Jeddiah Smith biorę kurs z powrotem na południe. W okolicach Garberville, przy samej Avenue of the Giants, mieszka moja przyjaciółka Lena, którą mam zamiar odwiedzić.

Na miejscu Lena zaznajamia mnie z tajnikami życia w tym pięknym miejscu. –*Wydarwać by się mogło, że dzięki wszechotaczającej przyrodzie jest tutaj spokojnie, a nawet monotennie. Wręcz przeciwnie. Mamy tu prężną radiostację,*

ciekawą gazetę. Życie towarzyskie też kwitnie. Zawsze coś się dzieje. Jedyne, co spędza sen z powiek, to zagrożenie pożarem. Zwłaszcza teraz, późnym latem – zresztą jak w całej Kalifornii. Tego nie można przewidzieć.

Po zbyt krótkiej wizycie, pożegnaniach i z bagażnikiem wypełnionym ogródkowymi przysmakami wyruszam z Garberville dalej na południe, aby jeszcze tego samego dnia dotrzeć do Parku Narodowego Yosemite.

GIGANTYCZNE MAMUTOWCE

Do zachodniego wjazdu do parku docieram późnym wieczorem. Dobrze przesypiam noc i z rana wyruszam na zwiedzanie głównej doliny. Słoiki atramentu zostały na jej temat wylane i setki kilometrów kliszy fotograficznej były tu naświetlone. Spacer w górę doliny pomiędzy białymi granitowymi turniami rysującymi się na tle błękitnego nieba pozostaje w pamięci. To miejsce piękna, spokoju i refleksji. John Muir, słynny adwokat ochrony przyrody w Yosemite, powiedział: „Każdy potrzebuje

UPADŁY GIGANT

Dyerville (po lewej stronie zdjęcia) w Parku Stanowym Humboldt był najwyższym drzewem świata, dopóki nie padł w marcu 1991 r. Przesączona deszczami gleba czasami nie wytrzymała kolosalnego ciężaru. 113-metrowa sekwoja wieczniezielona miała 1600 lat i ważyła 450 ton.





MIRANDA PRZYDROŻNA

Miasteczko Miranda jest położone na południowym krańcu 50-kilometrowej Avenue of the Giants. To łatwo dostępna i równie spektakularna trasa, na której olbrzymich drzew można dotknąć z okien samochodu.

piękna tak samo jak chleba, miejsc do zabawy i modlitwy, gdzie natura może uzdrowić, rozweselać i wzmacniać tak ciało, jak i ducha”. Jednakże, ze względu na ponad cztery miliony osób odwiedzających park rocznie, lepiej udać się tu przed sezonem lub po nim, kiedy napływ turystów maleje.

Na południe od doliny Yosemite znajdują się miejscowość Wawona i gaj Mariposa. Rosną tutaj mamutowce olbrzymie, zwane również sekwojami olbrzymimi (*Sequoiadendron giganteum*, ang. *sequoia*), uważane za najpotężniejsze drzewa świata.

Mówiąc najpotężniejsze, mamy na myśli miąższość drewna (ich masę drzewną, objętość drzewną). Najpokaźniejszy z nich to 84-metrowy Generał Sherman, znajdujący się w Parku Narodowym Sekwoi, na południe od Yosemite. Objętość jego pnia jest oceniana na 1600 m³, co potrójnie przekracza objętość najwyższego drzewa świata. Waży około 2 tys. ton. U podstawy ma obwód 31 m i 11 m średnicy. Szacuje się, że Gen. Sherman żyje już 2300–2700 lat, chociaż niektórzy dają mu 3200 (jak dotychczas na

drylowanie drzewa w celu ustalenia jego sędziwego wieku nie wydano zezwolenia).

Mamutowce i sekwoje wieczniezielone są gatunkami spokrewnionymi, należącymi do rodziny cyprysowatych. W związku z tym mają wiele cech wspólnych. Podobnie jak sekwoje nadbrzeżne mamutowce wytwarzają korę, która jest u nich jeszcze bardziej mięsista i dochodzi nawet do 75 cm grubości! Dzięki tej ochronnej warstwie przesyconej taninami, które nadają jej charakterystyczny ceglasty kolor, gatunki te są bardzo odporne na pożary i szkodniki. W odróżnieniu jednak od sekwoi wieczniezielonych mamutowce są bardziej wytrzymałe na mróz i suche ciepło miesięcy letnich. Rosną tylko w 400-kilometrowym pasie zachodnich stoków gór Sierra Nevada w środkowej Kalifornii.

W gaju Mariposa można obejrzeć wiele okazów: California Tunnel Tree – jedyne dzisiaj żyjącego mamutowca z tunelem, a także Giganta Grizzly – najstarsze drzewo. Dożył on już szacunkowo ponad 2000 lat i powodzi mu się wyśmienicie. Jeden z jego dolnych konarów ma średnicę 2 m, co przekracza szerokość

pnia jakiegokolwiek innego niemamutowca w jego otoczeniu.

Czas jechać dalej. Wyruszę w stronę wschodniej drogi US 395. Aby tam dotrzeć, należy przejechać park Yosemite do przełęczy Tioga. Sama przełęcz, położona na wys. 3031 m n.p.m. (najwyższa drogowa przełęcz w Kalifornii), i zjazd tysiąc metrów w dół do drogi 395, mimo raczej surowego krajobrazu, są prawdziwie spektakularne. Przełęcz jest zamknięta zimą.

Na noc zatrzymuję się na przyjemnym kempingu w sosnowym lesie w June Lake. To już mój ostatni nocleg. Następnego dnia mam dojechać do San Diego. Jak się potem okazało, miał to być bardzo długi dzień.

SZCZĘŚLIWI STARUSZKOWIE

Przeglądając przewodnik, zupełnie przez przypadek natrafiam na informację o bardzo starych drzewach, sosnach długowiecznych, rosnących w Górach Białych, około godziny drogi na wschód od mojej trasy. Długo się nie zastanawiam i skręcam w tamtym kierunku. Zupełnie pusta droga wznosi się stromo i wije wśród spalonych słońcem wzgórz.

Kiedy w końcu wdrapuję się na wysokość 3000 m n.p.m., ukazuje mi się dziwny widok. Sceneria jest prawie księżycowa – ziemia biała, a z niej, w pewnej odległości od siebie, wyrastają powykręcane, zrogowaciałe, niewysokie drzewa o pomarańczowożółtej korze.



To najstarsze drzewa świata, sosny długowieczne (*Pinus longaeva*, ang. *bristlecone pine*). Zadziwiające, że oprócz nich nic innego tu nie rośnie. Wkrótce okazuje się dlaczego. Mimo że jeszcze przed godziną, zanim wjechałam w te góry, pogoda była ciepła i słoneczna, tutaj jest pochmurnie i chłodno. – *Zimą jest tu oczywiście jeszcze bardziej niegościnnie* – mówi pani ranger. – *Jednak jak na przekorę ciężkie warunki przetrwania: niska temperatura, silne wiatry, sucha i alkaliczna gleba, krótki sezon wegetacyjny, sprawiają, że drzewa te osiągają tak sędziwy wiek.*

Co ciekawe, czym surowszy klimat, tym lepiej im się powodzi. Najstarsze sosny długowieczne rosną na wyższych wysokościach (3000–3500 m n.p.m.) i na północnych

DOMKI OGNIOTRWALE

Chatki dla krasnoludków, sklepiki z pamiątkami, a kiedyś nawet obory – to wszystko zmieści się w pniu sekwoi wieczniezielonej. Drzewne pieczary powstają na skutek pożarów, ognioodporna kora jednak opiera się zniszczeniu.

PRZEJEDZNA SEKWOJA

Tunnel Log w Parku Narodowym Sekwoi. Tuneli w drzewach istnieje jeszcze pięć. To przewróciło się w 1937 r., w sędziwym wieku 2 tys. lat.





SPRZED NASZEJ ERY

Długowieczne mamutowce należą do największych organizmów, jakie kiedykolwiek egzystowały na Ziemi. Mogą żyć ponad 3 tys. lat, a skamieliny ich przodków datują się do ery dinozaurów.

FOT. JACZEK SZCZEPAN

stokach. Szacuje się, że średnia wieku sosen północnostokowych wynosi 2000 lat, podczas gdy południowostokowych – „tylko” 1000. Ich przyrost roczny jest minimalny, drewno bardzo twarde, a przez to odporne na szkodniki. Sosnowe igły wykazują najdłuższą żywotność w świecie drzew i nie opadają nawet do 45 lat.

Najbardziej wiekowy jest tu osobnik liczący 5067 lat, najstarsze odkryte żyjące drzewo, a zarazem najstarszy nieklonalny (samodzielnie rosnący) organizm na Ziemi. Z taką metryką urodzenia okaz ten musiał wykiełkować w 3049 roku p.n.e., a zatem 500 lat przed wybudowaniem piramidy Cheopsa! W dodatku cieszy się on zupełnie dobrym zdrowiem. Staruszkowi, pewnie niedbającemu zbytnio o detale, nie nadano jeszcze imienia, a jego lokalizacja, przezornie, jest nieudostępniona. I nie bez powodu. W 1964 r. głośno było o skandalu związanym ze ścięciem (sic!) Prometeusza z Newady. Po dokonaniu pomiarów okazało się, że było to wtedy najstarsze drzewo świata. Prometeusz miał co najmniej 4844 lata;



FOT. MALGORZATA JARZEMBOWSKA

nie wyklucza się nawet, że mógł przekroczyć pięć tysięcy.

Wiele drzew wygląda na uschnięte, tylko gdzieś z boku wyrastają iglaste gałęzie. Pani ranger mówi, że nawet bardzo cienki pasek żyjącej materii jest w stanie łączyć korzenie z kilkoma zielonymi gałązkami. Gdy drzewo umrze, jego drewno jest cały czas tak trwałe i tak powoli się rozkłada, że może wytrwać nawet do ponad 11 000 lat, czyli datować się prawie do zakończenia ostatniej epoki lodowcowej. Ta jego wydłużona żywotność, dzięki pomiarom przyrostów rocznych, jest bardzo przydatna w badaniu klimatu minionych tysiącleci.

Zaczyna się robić mglisto i zimno. Wskakuję do samochodu, nastawiam spokojną muzykę północnoamerykańskich Indian i pełna podziwu dla tych odwiecznych zahartowanych ascetów powoli zjeżdżam na bardziej gościnne tereny ciepłego podnóża gór Sierra Nevada. Po sytym posiłku jadę US 395, by w Lone Pine skręcić na wschód. Przy zachodzącym słońcu, potem w pełni księżyca, przecinam Dolinę Śmierci, a dalej zjeżdżam US 15 na południe. W San Diego jestem dobrze po północy. ○



Malgorzata Jarzembowska

Zawsze ciekawa nowych ludzi i ich zwyczajów. Planuje podróże tylko w zarysie i improwizuje na miejscu. Uwielbia papaje i mango zerwane prosto z drzewa, ukulele, a nade wszystko pogawędki z lokalnymi mieszkańcami.

DŁUGOWIECZNE, BO WYSOKOGÓRSKIE

W szorstkim klimacie Gór Białych, na wysokości ponad 3000 m n.p.m., sosny długowieczne nie mają konkurentów. Świetnie przystosowały się do srogich zim, mroźnych wiatrów i bardzo suchych lat.



FOT. MALGORZATA JARZEMBOWSKA



Izabella Wojno,
Michał Ziełiński

TYSIĄC KILOMETRÓW Z DAŁA OD TECHNOLOGII

Tydzień. Tyle czasu kielkował ów pomysł w naszych głowach. Michał nieśmiało zapytał: – Może byśmy spróbowali przejść te tysiąc kilometrów? – Myślałam dokładnie o tym samym! – krzyknęła Iza. Trzy miesiące później wylądowaliśmy w Tokio gotowi na przygodę życia: 56 dni maszerowania, 49 nocy spędzonych w namiocie, 38 tys. m przewyższeń. Z Tōkai Nature Trail zmierzaliśmy się jako pierwsi Polacy.

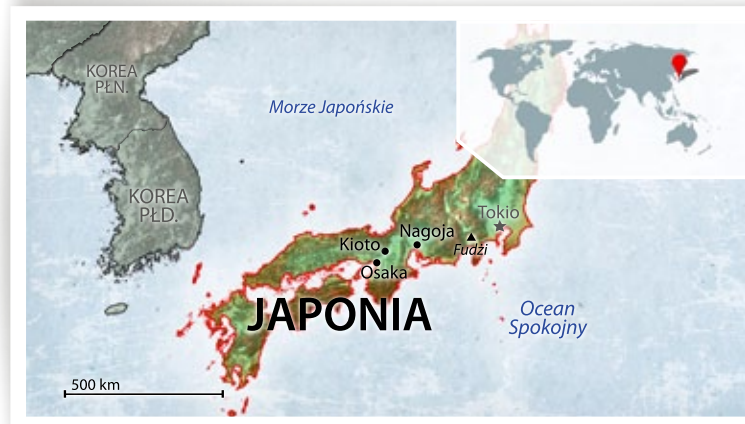


FOT. ZABELLA WOJNO I MICHAŁ ZEJMSKI

SZLAKIEM HERBACIANYM

Trasa prowadząca przez środek plantacji w prefekturze Shizuoka, słynącej z największej produkcji zielonej herbaty w Japonii.

Tōkai Nature Trail to długodystansowy szlak pieszy łączący Tokio i Osakę. Projekt stworzenia takiej ścieżki na największej japońskiej wyspie Honsiu pojawił się w 1969 r. z inicjatywy ówczesnego ministra środowiska. Ukończony pięć lat później szlak liczy obecnie 1697 km i przebiega przez 11 prefektur.



Idąc bezpośrednio trasą między Tokio i Osaką, pokonuje się jednak nieco krótszy dystans (od głównego szlaku odchodzi wiele alternatywnych pętli lub jednokierunkowych ścieżek, które prowadzą do dodatkowych atrakcji czy punktów widokowych). My wybieramy podstawowy wariant, który okazuje się naszą Japonią w pigułce.

Krańce Tōkai Nature Trail są wyznaczone przez dwa quasi parki narodowe – oddalony o 50 km na zachód od Tokio Meiji No Mori Takao i 20 km na północ od Osaki Meiji No Mori Minō. Oba miejsca są chętnie odwiedzane przez Japończyków, co w dni wolne od pracy oznacza, że można się tu spodziewać tłumów. Jeśli startujemy z Tokio, szlak wiedzie nas najpierw przez górzystą część prefektury Kanagawa, którą można zaliczyć do najbardziej wymagających na całej trasie. W nagrodę dociera się do samego podnóża majestatycznej góry Fudzi – najwyższego szczytu Japonii, a zarazem czynnego stratowulkanu. W tym rejonie nie wolno przegapić Arakurayama Sengen Park oraz pagody Chureito, które wraz z Fudzi w tle tworzą jedną z bardziej rozpoznawalnych wizytówek Kraju Kwitnącej Wiśni. W okolicy znajduje się również pięć słynnych jezior (Yamanaka, Kawaguchi, Sai, Shōji oraz Motosu), będących doskonałymi punktami widokowymi i miejscami do fotografowania najwyższego szczytu Japonii. Taki krajobraz towarzyszy nam aż do okolic miasta Shizuoka, znajdującego się w prefekturze o tej samej nazwie. Tu wkraczamy w rejon słynący z licznych plantacji herbaty, które stanowią ok. 40 proc. ogólnej produkcji w całej Japonii.



ŁADNA PAGODA

W tym kraju przeplatają się dwa wierzenia – filozofia buddyzmu oraz oparta na mitologii religia shintō. Na zdjęciu buddyjska pagoda Koyasu w dawnej stolicy Japonii, Kioto.

Wraz z kolejnymi kilometrami mijamy coraz więcej małych miasteczek, gdzieś tam pojawiają się także pola ryżowe. Następny charakterystyczny przystanek to Nagoja, trzecie co do wielkości miasto i jednocześnie symboliczna połowa dystansu Tōkai Nature Trail. Na liczniku wybija 500 km. Niestety szlak poprowadzono tu obrzeżami miasta, co odbiera nieco uroku wędrowcy. Mijamy więcej zabudowań, a w gąszczu uliczek łatwo zgubić prawidłową drogę. Na szczęście po kilku dniach, już w zachodniej części Nagoi, znów wkraczamy w bardziej górski i bogaty

przyrodniczo teren. Tak docieramy do Kioto, które zdecydowanie zasługuje na chwilę uwagi. Miasto słynie z historycznej zabudowy, unikalnych świątyń czy znanych na całym świecie szkół gejsz. Droga do Osaki to już tylko kilkudniowy spacer przez bambusowe lasy i ostatnie wzniesienia. Spieszymy się, aby zdążyć na metę przed początkiem czerwca, a tym samym – najbardziej deszczowym okresem w tej części Japonii. Po dwóch miesiącach zmagania i 1000 km marszu docieramy do Quasi – Parku Narodowego Minō, co oznacza finał długiego marszu.



FOT. IZABELLA WOJNO I MICHAŁ ZEJŃSKI



FOT. IZABELLA WOJNO I MICHAŁ ZEJŃSKI

POWRÓZ NA ZŁĄ ENERGIĘ

Widoczny w głębi sznur spleciony jest ze słomy ryżowej. Nazywa się *shimenawa* i jest charakterystyczny dla świątyń shinto. Chroni je przed negatywną energią.

DOBRE SMOKI

W kulturze japońskiej odgrywają bardzo dużą rolę. Wizerunki smoków często przyozdabiają świątynie, ponieważ są uważane za dobry znak. Utożsamia się je również z żywiołem wody.

DZICY W WIELKIM MIĘSCIE

Cały dystans pokonuje rocznie prawdopodobnie tylko kilka lub kilkanaście osób. Dla porównania – najdłuższy pieszy szlak w Nowej Zelandii Te Araroa w ubiegłym sezonie ukończyło ponad 500 śmiałków, ale na jego krótszych odcinkach pojawiły się już tysiące piechurów. Przygotowania do naszego marszu nie należały więc do najłatwiejszych. Gdy planowaliśmy trasę, mieliśmy do dyspozycji tylko jeden rzetelny, anglojęzyczny blog o Tōkai Nature Trail. Obecnie są już dwa. Być może będziemy trzecim.

Pojawiający się na szlakach Japończycy wyglądają niczym modele, wyjęci z katalogów najlepszych firm odzieży i sprzętu sportowego. My musimy pocieszyć się wysłużonymi plecakami, naprawianym kilkakrotnie namiotem i znoszonymi ubraniami. Pozwalamy sobie jedynie na odrobinę luksusu – kupujemy nowe buty i parę kijków trekkingowych.

Gdy w kwietniu zaczynamy długi marsz, temperatury w nocy sięgają niekiedy nawet zera. Nasz namiot pokrywa się cienką warstwą szronu. Na zwykłych karimatach, opatuleni w lekkie śpiwory, wypatrujemy



FOT. ZABELLA WOJNO I MICHAŁ ŻELIŃSKI

PUREZENTO ZA UŚMIECH

Podczas wyprawy polscy wędrowcy byli serdecznie dopingowani przez Japończyków. Miejscowi bezbłędnie odgadywali ich potrzeby i ofiarowywali czasami *purezento* w formie *onigiri*, owoców czy innych pyszności.

pierwszych porannych promieni słońca. W ciągu dnia idzie się natomiast świetnie. Podziwiamy kwitnące wiśnie i ośnieżony jeszcze wulkan Fudzi, wdychając rześkie wiosenne powietrze. Maj przynosi ocieplenie, ale też coraz większą wilgotność – przedsmak nadchodzącego monsunu. Choć w trakcie całej wyprawy przychodzi nam się zmierzyć z temperaturami od zera do ponad 30°C, jest to chyba najlepszy okres na marsz szlakiem Tōkai.

W namiocie śpimy prawie każdej nocy, bo poza nielicznymi wyjątkami nie ma tu zapewnionej infrastruktury noclegowej. Na większe zakupy, prysznic, ładowanie baterii i spanie w normalnym łóżku (lub na japońskim futonie) trzeba się wybrać do najbliższego miasta. Na całej trasie robimy pięć takich wypadów, za każdym razem czekając na nie z utęsknieniem. I za każdym razem czujemy się jak dzicy pośród cywilizacji. To niesamowite, jak po wielu dniach marszu docenia się najprostsze udogodnienia.

Długo będziemy wspominać nasze pierwsze zakupy w markecie. Nie potrafimy rozszyfrować japońskich znaczków, więc wybieramy wszystko intuicyjnie. Na początku trasy nie jesteśmy do końca pewni, co właściwie niesiemy w swoich ciężkich plecakach. Gotujemy sami i ograniczamy nasze posiłki do minimum – szlak nie jest dobrze oznakowany i trudno przewidywać, kiedy i gdzie będziemy mogli uzupełnić zapasy. Najbardziej lubimy lokalne małe sklepiki. Jesteśmy urzeczeni, gdy w jednym z nich sprzedawca podlicza ceny na tradycyjnym japońskim liczydłie!

Dni mijają według podobnego schematu: pobudka o świcie, pakowanie, śniadanie, marsz, przerwa na obiad, marsz, szukanie miejsca na nocleg. Niesamowicie ważnym elementem wyprawy okazuje się poznanie granic swojej wytrzymałości fizycznej, przetrwanie przy obniżonym poziomie komfortu oraz życie z dala od codziennych „rozpraszaczy”. Są kryzysy i chwile słabości, ale to dla nas kolejna nauka – cierpliwości.

BOREM, LASEM...

Tereny leśne zajmują ponad 60 proc. powierzchni tego kraju. Na górskich odcinkach Tōkai Nature Trail można podziwiać świerki i jodły, w niższych partiach dominują lasy bukowo-dębowe.

OCHRONA PRZEZ DEMONA

Onigawara to rodzaj ornamentyki dachów. Na końcach kalenicy umieszcza się specjalne dachówki lub posągi przedstawiające demona *oni* albo inną przerażającą bestię. Według wierzeń demony chronią budynek przed złem. Ich bardziej przyziemną funkcją jest regulowanie przepływu wody deszczowej.

**BETONOWE LASY**

Japonia to kraj dla odważnych ludzi. Trudno nam sobie wyobrazić, że w ciągu kilku miesięcy Polskę nawiedzają po kolei: trzęsienie ziemi, fala tsunami, tajfuny, lawiny błotne, huraganowe wiatry, wysokie upały i jeszcze erupcje wulkanów... Podczas naszej wyprawy mamy na szczęście do czynienia tylko z dwoma żywiołami – lekkim trzęsieniem ziemi i kilkudniowymi opadami, które zamieniają ścieżki w rwące potoki, a niekiedy nawet rujną szlak.

Japończycy starają się okiełznać naturę w dość kontrowersyjny sposób. Przy użyciu betonu regulują większość rzek i wodospadów,

a specjalnymi konstrukcjami umacniają zbocza gór, by zapobiegać osuwiskom. Trudno się z tym pogodzić, gdy każdego dnia marszu natrafiamy na takie „ulepszenia” – nawet w miejscach oddalonych od najbliższej wioski o kilka godzin marszu. Z jednej strony przeklinamy beton, z drugiej staramy się zrozumieć Japończyków, którzy prawie każdego dnia walczą ze śmiertelnościami żywiołami.

Choć Tōkai Nature Trail nie należy do najpopularniejszych szlaków, to podczas marszu nigdy nie jesteśmy sami – sądząc po ostrzeżeniach, na każdym kroku towarzyszą nam niedźwiedzie. Na trasie czujemy też na sobie



FOT. DABELLA WDJUNO / MICHAŁ ZIELIŃSKI

Na szlaku stajemy też oko w oko z dzikiem, jenotem azjatyckim i japońskimi makakami. I choć te wszystkie zwierzęta nieraz napędzają nam strachu, to inna historia zapada nam w pamięci na dłużej. Mija drugi miesiąc marszu i sądzimy, że jesteśmy już całkiem nieźle zahartowani w bojach. Jednak gdy tylko przekraczamy granicę prefektury Gifu, wszystko przestaje się układać po naszej myśli. Oznaczenie trasy pozostawia wiele do życzenia, przez co wielokrotnie gubimy szlak i niepotrzebnie robimy dodatkowe kilometry. Nasza frustracja zaczyna narastać, gdy okazuje się, że tracimy pół dnia na marsz w zupełnie innym kierunku. Następny poranek nie daje



FOT. DABELLA WDJUNO / MICHAŁ ZIELIŃSKI

wzrok japońskich jeleni lub ich rogatych znajomych – serau. Kilka razy udaje nam się je dojrzeć, choć najczęściej uciekają w popłochu, a my słyszymy jedynie szelest liści. Dużo bardziej towarzyskie okazują się węże, które, w szczególności na górskich odcinkach, wypływają prosto pod nogi. Z pewnością nie zapomnimy ostatniego dnia marszu, kiedy Iza wpada w zasadzkę dwóch grzechotnikowatych *mamushi* (*Gloydius blomhoffii*). Te najbardziej jadowite japońskie węże blokują jej drogę z obydwu stron ścieżki. Nie pomagają tupanie nogami, musimy je poprzesuwać kijkami trekkingowymi.

pocieszenia. Gdy gubimy się ponownie i kłuczemy w nieprzyjaznym lesie, nagle Iza wpada stopą... we wnyki! Mamy dość i zarządzamy jednodniową regenerację w pobliskim hotelu w niewielkiej miejscowości Yoro. Nazajutrz wypoczęci i gotowi do drogi, postanawiamy się zmierzyć z ostatnim odcinkiem w Gifu. Mamy nadzieję, że wyczerpaliśmy już limit pecha w tej prefekturze. Ścieżka prowadzi stromo pod górę przez ponad trzy godziny. Po ulewnych deszczach wilgotność sięga prawie 90 proc., czujemy, jak ubranie przykleja się do nas, a plecak ciąży bardziej niż zwykle. Zaciskając zęby, pniemy się do góry, gdy nagle

BRAMA DO NIEBA

Torii otwiera drogę do miejsc kultu religii shintō. Taka brama jest swego rodzaju przejściem ze świata ziemskiego do świata bogów.



TRASA Z WIDOKIEM NA FUDZI
Najwyższy (3776 m n.p.m.)
i charakterystyczny szczyt
Japonii, w 2013 r. wpisany
na listę światowego
dziedzictwa UNESCO. Fudzi
jest czynnym wulkanem,
który ostatni raz wybuchł
w 1707 r. Szlak Tōkai
Nature Trail przez kilka dni
prowadzi u jego podnóża.

Iza wyrywa się z krzykiem: – *Michał, tu jest pełno pijawek!* Zaczynamy oglądać nogi i okazuje się, że niektóre już zdążyły nas zaatakować. Przyspieszamy kroku, jednak co chwilę zauważamy następne i następne. Iza staje się rekordzistką, bo łapie w ciągu trzech godzin marszu 53 pijawki! Nie sądziliśmy, że te niewielkie zwierzęta staną się naszą największą zmorą w trakcie całego Tōkai Nature Trail.

GAJDZIN NA WSI

Wysoko rozwinięta technologia, manga i anime, sushi, gejsze i samurajowie. To standardowe skojarzenia z Japonią, które również nam przychodziły do głowy przed przylotem do Tokio. Podczas dwóch miesięcy marszu Kraj Kwitnącej Wiśni pokazuje jednak zupełnie inne oblicze. Wystarczy wyjechać poza wielkie miasta, aby zobaczyć niezliczone pasma górskie, między którymi w dolinach kryją się tradycyjne domki z charakterystycznymi spadzistymi dachami. Japońska wieś urzeka.

Teren nie jest przyjazny, więc każda wolna i w miarę płaska przestrzeń jest wypełniona

polami herbaty, ryżu i przydomowymi warzywniakami. Tutaj czas wyhamował. Technologia została w tyle, a część prac rolnych jest nadal wykonywana ręcznie. Może dzięki temu odnosimy wrażenie, że ludzie wyglądają na mniej zagonionych i bardziej szczęśliwych niż w metropoliach. Większość z nich znajduje chwilę, by się do nas uśmiechnąć, ukłonić, a niekiedy nawet porozmawiać. I nikomu nie przeszkadza, że nasze konwersacje to raczej próba wymiany słów we wszystkich znanych nam językach, doprawiona kreatywną gestykulacją.

Uczymy się tylko kilku podstawowych zwrotów, tłumaczących zszokowanym Japończykom, skąd dwoje gajdzinów (obcokrajowców) znalazło się pośrodku niczego, z dala od turystycznych atrakcji. Wiele tych spotkań kończy się grzecznościową wymianą ukłonów (które w kulturze japońskiej są punktem obowiązkowym) oraz *purezento*, czyli drobnymi upominkami.

Na pierwszy prezent nie czekamy długo. Już drugiego dnia marszu słyszymy powitanie *ohayougozaimasu!*, rozpoczynające



FOT. IZABELLA WOJNO | MICHAŁ ZIELIŃSKI

otrzymujemy w odpowiedzi... czasopismo dla dorosłych.

Serdeczność, którą Japończycy okazują nam na każdym kroku, sprawia, że na szlaku Tōkai Nature Trail czujemy się jak superbohaterowie. Mamy niezwykłą moc, jako gajdzini w krainie, do której oni zwykle nie zagląдают. Przechodząc przez wioski i miasteczka, wywołujemy ogromne zainteresowanie. Maszerując po górskich szlakach z całym dobytkiem na plecach, wzbudzamy podziw, być może nawet kogoś inspirujemy. W naszych głowach rodzi się prawie poczucie misji – że musimy iść dalej, by nie zawieść tych wszystkich ludzi.

Czar jednak pryska zaraz po wyjściu „z lasu”, kiedy w wielkich miastach ginie my między tłumami turystów. Momentalnie nasze moce przestają działać i stajemy się niezauważalni. ○



**Izabella Wojno,
Michał Zieliński**

Miłośnicy aktywnego podróżowania, długich wędrowek i górskich szlaków. Podczas swoich wyjazdów poszukują nowych wyzwań i nietypowych miejsc. Prowadzą blog Poznańskie Łaziki.

niezrozumiały dla nas monolog. Starszy mężczyzna szybko orientuje się, że nasza znajomość japońskiego jest bardzo ograniczona, więc nerwowo zaczyna przeszukiwać swój plecak. – *Purezento for you.* – Chwilę później zwycięsko wyciąga w naszą stronę rękę, w której kryje się puszka mandarynek. Ale jak my się odwdzięczymy? W plecaku nie mamy żadnych rarytasów. Pozostaje więc uklonąć się tak nisko, jak to możliwe, podziękować radośnym *arigato* i poprosić dobroczyńcę o wspólne zdjęcie na pamiątkę.

Podobne sytuacje przytrafiają nam się później wielokrotnie, a te oznaki sympatii ze strony Japończyków za każdym razem są dla nas czymś wyjątkowym. Ku radości wygłodniałego wędrowca najczęściej jesteśmy obdarowywani różnymi przekąskami, takimi jak batony, bakalie czy onigiri. W naszych plecakach nosimy skrupulatnie odliczone racje żywności na każdy dzień, więc te niespodziewane bomby energetyczne wielokrotnie podnoszą nasze morale. W całej podróży rezygnujemy tylko z jednego *purezento*. Po zapytaniu rybaka o drogę prowadzącą do najbliższego sklepu



FOT. IZABELLA WOJNO | MICHAŁ ZIELIŃSKI

RIWIERA ARTYSTÓW

Antibes oferuje widoki na Niceę, Alpy Nadmorskie i lazurowe wody. Nic dziwnego, że miasto upodobali sobie malarze. Mieszkał tu m.in. Pablo Picasso.





LAZUROWE ARCYDZIEŁO

Elżbieta Pawełek

Picasso kochał tutejsze plaże i słońce. Chagall po latach bledowania w Rosji znalazł swoją szczęśliwą przystań. Matisse mówił, że zyskał tu drugie życie. Ruszamy ich śladem, by podobnie jak oni odkrywać uroki Lazurowego Wybrzeża, które niegdyś ściągało wielki świat, arystokrację i bohemę, a dziś otwiera się na zwykłych turystów.

Pejzaże Lazurowego Wybrzeża to żywe obrazy, malowane ręką natury. Po jednej stronie falująca zieleń sosen, cyprysów i pinii z alpejskimi szczytami na horyzoncie, po drugiej – lazurowe morze. A nad głową słońce i bezkresny baldachim kobaltowego nieba. W samo południe kryjemy się pod parasolami przy Promenadzie Anglików, biegnącej łagodnym łukiem wzdłuż Morza Śródziemnego. Fakt, że bywały tu takie znakomitości, jak królowa Wiktoria, księżna Grace Kelly czy filmowe gwiazdy z Brigitte Bardot, Yves'em Montandem i Simone Signoret na czele, wprawia nas w stan euforii. A jeszcze do tej listy trzeba dorzucić słynnych malarzy: Matisse'a, Picassa, Chagalla, van Gogha, Cezanne'a. Niezwykła intensywność kolorów, słońce, gra światła stwarzały im wręcz idealne warunki do twórczej pracy.

„Kiedy zrozumiałem, że będę oglądał to światło każdego ranka, nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście” – pisał Claude Monet w listach. Słynny impresjonista zjechał kawał Lazurowego Wybrzeża w poszukiwaniu odpowiedniego światła, by w końcu zakochać się w Antibes. Kopie trzech jego płócien stoją teraz przy nadmorskiej promenadzie. Na szlaku malarzy wpadamy co krok na reprodukcje słynnych obrazów. Nasz ulubiony to „Zakochani” Raymonda Peyneta. Płótno zrobiło w Japonii furorę i wiele japońskich par przyjeżdża do Antibes, by w ratuszu zatwierdzić swoje małżeństwa i otrzymać dyplom z wizerunkiem „Zakochanych”.



PICASSO W SŁOŃCU ANITIBES

Antibes, najstarsze miasto Lazurowego Wybrzeża, zauroczyło też Pabla Picassa, który dotarł tu w 1946 r. Może tak jak my zapuszczał się w zaułki starego miasta, będącego celem pirackich ataków w XV w., o czym świadczą grube mury obronne. Do ich budowy użyto nawet rzymskich kamieni, na których widnieją jeszcze oryginalne napisy. Zaglądamy też na Marché Provençal, prowansalski rynek, gdzie wypieka się *socca*, pyszny placek, którym zapewne zajadał się Picasso, bo był łasuchem. Ale najbardziej lubił wygrzewać się w słońcu na plaży z przyjaciółmi. Przy pracy zawsze korzystał ze światła słonecznego, kładł swoje płótna na ziemi i malował je pochylony, co traktował jak gimnastykę. „Niektórzy malarze przetwarzają słońce w żółty punkt, inni przetwarzają żółty punkt w słońce”, mówił i oczywiście zaliczał siebie do tych drugich.

PROMENADA ANGLIKÓW

Bulwar zbudowany przez mieszkańców w Nicei Anglików. Po jednej stronie morze i plaże, po drugiej – pałace, zabytkowe kamienice, hotele, kasyna...



FOT. ELŻBIETA PAWLEK



FOT. ELŻBIETA PAWLEK

W Antibes miał pracownię na drugim piętrze zamku Grimaldich – dziś jest tu jego muzeum. Obrazy z tego okresu przepięknie szczęście. Mistrz ma u boku młodszą od niego o 40 lat Françoise Gilot. Słynne płótno „Radość życia”, z roztańczoną w rajskim pejzażu Françoise pośród zwierząt i grających na fletach centaurach, to poemat na cześć życia. – *Z upodobaniem malował też żaglówki i morską faunę, ryby, ośmiornice, jeżowce. Ale często zmieniał i przemalowywał swoje obrazy. Nie podpisywał ich nawet, stąd na wielu nie ma jego nazwiska* – mówi Lucy, nasza przewodniczka, Angielka, która tak jak malarz pokochała Riwierę Francuską.

WOJNA, POKÓJ I MIŁOŚĆ

Z tarasu zamku Grimaldich rozciąga się przepiękny widok na morze i słynny port Fort Carré z jachtami milionerów, gdzie Sean Connery zagrał Jamesa Bonda w filmie „Nigdy

nie mów nigdy”. Picasso nie dożył tych czasów, ale nieraz oglądał kołyszące się jachty w porcie. Był też wrażliwym obserwatorem natury. Na jednym ze zdjęć, autorstwa jego przyjaciela Michela Simy, polskiego fotografa, widzimy mistrza z sową. Była ranna, więc się nią zaopiekował, a potem ją namalował. Z atelier malarza przechodzimy do sali z jego szkicami i talerzami, które sam przyozdobił. Nie wszyscy wiedzą, że przez wiele lat zajmował się ceramiką, gdy mieszkał w sąsiednim Vallauris. Był też honorowym obywatelem tego miasta, któremu podarował rzeźbę z brązu, nazwaną „Człowiekiem z owcą”. Stoi na głównym placu obok XVI-wiecznego zamku, gdzie znajduje się Muzeum Picassa i udekorowana przez niego kaplica. Swoje dzieło zatytułował „Wojna i pokój”, bo nawiązuje ono do niedawnych wydarzeń wojennych. Ale w końcu zwycięża pokój.

Kilka kroków dalej odkrywamy miejską bibliotekę, gdzie dawniej mieścił się ratusz. Wiele znanych par, w tym Rita Hayworth i książę

TU MIRÓ, TAM PICASSO

Antibes to miasto sławnych artystów. Na zdjęciu rzeźba Miró przed Muzeum Picassa.

Aly Khan, stanęło tu na ślubnym kobiercu. W 1961 r. dołączył do nich Picasso, biorąc za żonę skromną dziewczynę Jacqueline Rouge. I to ona, jak się tutaj mówi, ujarzmiła jego serce, a nie Françoise. W dniu ślubu miał 80 lat, a jego wybranka 34.

ŚWIAT W BARWACH MATISSE'A

Podążając tropem malarzy, kierujemy się do Saint-Paul-de-Vence. To dziś jedno z najbardziej ekskluzywnych miejsc na Lazurowym Wybrzeżu, do czego przyczyniła się legendarna restauracja La Colombe d'Or. Przesiadywało w niej wielu artystów, w tym Pablo Picasso i Georges Braque, którzy mieli w zwyczaju płacić za gościnę swoimi obrazami. Marc

Chagall natomiast kazał się pochować na tutejszym cmentarzu. Za murami miejskimi stoi tablica z reprodukcją jego „Pary w błękitnym pejzażu”, ona z dzieckiem, on z bukietem kwiatów szybują po niebie, w tle zaś sterczą wieże Saint-Paul. Jego prace zobaczymy też w pobliskiej Fondation Maeght, jednej z najpiękniejszych prywatnych galerii na świecie, założonej w latach 60. przez małżeństwo Aimé i Marguerite Maeght. Zgromadzono tu prace Miró, Chagalla, Bonnard, Braque'a, Caldera i przeraźliwie smutne rzeźby Alberta Giacomettiego, osiągające na aukcjach po 100 mln dolarów za sztukę. Nie wszystkich na nie stać, ale warto popatrzeć.

Przed nami urocze Vence, w którym zakochał się Henri Matisse. Nic dziwnego. Spokój, cisza, przerywana czasami dzwonami

TYTAN PRACY

Mimo ciężkiej choroby Henri Matisse tworzył do końca, a jego prace można oglądać w muzeum w Vence.



FOT. ELŻBIETA PAMELEK



FOT. ELŻBIETA PAMELEK



FOT. ELŻBIETA PAMELEK

katedry. Vence okalają tak grube mury obronne, że w ich środku wygospodarowano przestrzeń na współczesne mieszkania. Kierujemy się do zamku Villeneuve, gdzie jest muzeum z pracami Henriego Matisse'a. Można tu obejrzeć urzekające lekkością i kolorami obrazy artysty, także szkice i ilustracje do książek. Schorowany Matisse zrezygnował na starość z malowania na płótnie i szkicował za pomocą długiego kija. Odtąd tworzył wielkie kolaże, przy których pomagała mu córka. – *Wycinał, wycinał, a jak nawycinał, to córka wchodziła na drabinę i je mocowała* – śmieje się kustoszka muzeum.

Ciekawi jesteśmy też kaplicy w pobliżu Vence, którą stworzył na zamówienie sióstr dominikanek. Szkice Matisse'a na białych ścianach robią wrażenie. Trupie czaszki były

szokiem dla matki przełożonej, ale kolorowe witraże, przez które wpada słońce, ocieplają wnętrze. Najbardziej przejmująca jest Droga Krzyżowa, 14 stacji, na szóstej chusta z odbitą twarzą artysty. Niewierzący Matisse napisał do siostry przełożonej: „Ukrzyżowanie Jezusa jest najgłębszą tragedią ludzkości”.

ANIOLY NAD NICEĄ

Czym jest jednak Vence w porównaniu z Niceą, gdzie znajdziemy ponad 100 muzeów i 150 galerii! To raj artystów, miasto wspinających pałaców i rezydencji. Na przełomie XIX i XX w. słońce i tutejszy mikroklimat zwały arystokratyczną śmietankę Europy. Niceę upodobał sobie zwłaszcza Rosjanie i Anglicy, uciekający z deszczowych i mroźnych ojczyzn.

CZAR ANTIBES

Najstarsze miasto Lazurowego Wybrzeża, pamiętające jeszcze ataki piratów, kusi uroczą starówką.





SZTUKA HANDLOWA

Cours Saleya, słynne targowisko w Nicei, przyciąga nawet artystów ze sztalugami.

– *Anglicy przyplęwali tu na statkach i spacerowali po wybrzeżu, czym bardzo złościli Francuzów. I tak powstała Promenada Anglików nad Zatoką Aniołów* – mówi nasza przewodniczka Ria, z pochodzenia Czeszka, sama zakochana w tym mieście.

Przy bulwarze Cimiez, gdzie zimą w hotelu Regina rezydowała królowa Wiktoria, zbudowano podziemny tunel, żeby mogła przejść suchą stopą do zamku i ogrodu, który bardzo lubiła. Ale najbardziej kusi nas tonące w śródziemnomorskiej zieleni Muzeum Marca Chagalla. W przebogatych zbiorach jest ponad 400 prac i skarb kolekcji „Le Message Biblique” z siedemnastoma płótnami inspirowanymi Starym Testamentem. Tytuły już mówią wiele: „Mojżesz dostaje 10 przykazań”, „Wygnanie Adama i Ewy z raju”, „Noe pod tęczę”... I jak to u Chagalla – wszędzie wirują postacie i anioły. Chagall, z pochodzenia Żyd z Witebska, znał powiedzenie, które w tłumaczeniu z jidysz brzmiało „fruwać po niebie”, czyli „dać się ponieść fantazji”. A tej mu nigdy nie brakowało.

Z muzeum wychodzimy prosto na skąpane w słońcu ulice Nicei. Mijamy tańczące fontanny i plac Garibaldiego, gdzie zwykle są tłumy, i marzymy, by posiedzieć nad morzem. Prawie słyszymy szum fal... Ale przed nami jeszcze Muzeum Matisse’a, które warte jest najwyższych poświęceń. Czego tu nie ma, a właściwie – co tutaj jest? Kolorowe wycinanki, z których układał obrazy, a także grafiki,



szkice, rzeźby, ceramika. O swoim największym obrazie, zajmującym cały pokój, „La Piscine” (Basen), mówił: „Lubię na niego patrzeć, bo przypomina mi moją miłość do morza, a nie mogę już pływać”.

Tworzył do końca w atelier przy placu Charles Felix, w starej części miasta Vieux Nice. Z okien widział słynne targowisko Cours Saleya, pulsujące życiem od rana do wieczora, otoczone morzem kafejek. Tak jak kiedyś, wszędzie ludy uginające się od warzyw i owoców, w powietrzu wiruje zapach prowansalskich przypraw i kwiatów. I sztalugi artystów, gotowych od ręki namalować portrecik czy sprzedać widoki z Côte d’Azur. – *Ile za ten?* – pytamy, wskazując na niewielkie płótno z Promenadą Anglików. Cena wyśrubowana, ale po krótkich targach bierzemy obraz. Nie jest to Matisse, ale będzie świetną pamiątką z Lazurowego Wybrzeża. ◯



Elżbieta Pawełek

Dziennikarka, narciarka, żeglarka i podróżniczka. Pływała katamaranem na Karaibach, leciała balonem w Afryce, podglądała rekiny na Bora Bora.

ZATOKA ANIOŁÓW

Okala ją nadmorska promenada i port, nad którym jak grzyby po deszczu wyrosły okazałe rezydencje. W Nicei mają posiadłości celebryci i gwiazdy, np. Elton John.



CHAGALL TU ZOSTAŁ

Saint-Paul-de-Vence zbudowano na wzgórzu. Aby poczuć jego magię, trzeba zapaść się w uliczki starego miasta, za którego murami jest grób Chagalla.

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

ŚLADAMI MARZEŃ

W dniach 1–3 lutego odbędzie się największy podróżniczy festiwal w Wielkopolsce i jeden z największych w Polsce. W tym roku organizatorzy przygotowali 20 prezentacji podróżniczych, 3 imprezy integracyjne, Fluo Party, warsztaty tematyczne oraz strefę wystawców. Prelegenci opowiedzą o swoich podróżach i wyprawach.

Od połowy stycznia na stronie jest dostępna pula bezpłatnych wejściówek oraz informacje na temat zapisów na dodatkowe zajęcia. W tym roku podczas festiwalu odbędą się warsztaty: fotograficzne, językowe, pisania książek podróżniczych, survivalowe, crowdfundingowe, podróżniczy speed-dating oraz wiele niespodzianek. Festiwal odbędzie się na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich podczas Targów Turystycznych Tour Salon.





WŁÓCZYKIJ

11 dni festiwalu, co najmniej 100 prelegentów i ponad 100 wydarzeń. Tak w największym skrócie będzie wyglądać 13. Gryfiński Festiwal Miejsc i Podróży Włóczykij, który odbędzie się w Gryfinie od 21 lutego do 3 marca 2019 r. Od lat podstawą programu festiwalu są spotkania z ludźmi, którzy opowiadają o swoich wyprawach, dziełach oraz przedsięwzięciach realizowanych w różnych częściach świata. Gryfino znów stanie się miejscem, gdzie będą przecinać się szlaki reportażystów, etnologów, alpinistów i miłośników ekstremalnej turystyki rowerowej. Nie zabraknie koncertów, degustacji potraw, wycieczek krajoznawczych, pokazów filmów, warsztatów dla dzieci i młodzieży, ekstremalnego rajdu na orientację (dystanse 25 km i 50 km) oraz Balu Włóczykija. www.wloczykij.com



NA SZAGE

VIII edycja Festiwalu Podróżniczego Na Szage to spotkania podróżnicze, które co roku odbywają się w pierwszy weekend lutego w Poznaniu, w auli AWF. W programie: prezentacje zaproszonych gości (podróżników, naukowców, dziennikarzy, fotografów), spotkania z autorami książek podróżniczych, warsztaty (podróżnicze, sprzętowe) dla uczestników w każdym wieku, wystawy fotograficzne, stoiska z książkami podróżniczymi. Podczas festiwalu odbędzie się konkurs na najciekawszą prezentację i opowieść z podróży – często są to pierwsze publiczne wystąpienia młodych duchem podróżników.

Tegoroczni zaproszeni goście to m.in.: Elżbieta Dzikowska, Bartosz Malinowski, Magdalena Konik, Ilona Wiśniewska, Weronika Łukaszewska i Sławek Sanocki, Jędrzej i Alicja Łukowscy, Kamila Kielar, Andrzej Ziółkowski i Janusz Adamski, Dariusz Fedor. www.festiwalnaszage.pl



SPOTKANIE Z MONIKĄ RADZIKOWSKĄ

Monika Radzikowska z wykształcenia jest archeologiem – pracuje na Zamku Królewskim w Warszawie – a z zamiłowania piechur, autostopowiczem, pasażerem, włóczykijem i ogólnie człowiekiem, który lubi wędrować w różne miejsca tego kraju i świata. W 2013 r. odbyła pięciomiesięczną podróż po Rosji, Gruzji i południowej Europie, w 2014 r. przejechała archeologicznym szlakiem Norwegię, a w 2015 r. – autostopem całą Islandię. W ostatnich latach podejmuje głównie wyprawy na wschód (Mongolia, Ukraina, Białoruś, Rosja). Lubi spotykać ludzi w drodze, podróżować na rowerze lub z plecakiem, nie spieszenie, żeby móc gapić się na wszystkie dziwactwa tego świata. Lubi też o tym pisać i opowiadać. Prowadzi bloga „W plecaku niesione. Historie zbierane po drodze”. Jest też autorką książki „Bajkał tam i z powrotem”.

Spotkanie odbędzie się 13 lutego w ramach 27. edycji Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami. www.podroznik-radzyn.pl



14. EDYCJA ŚNIEGOŁAZÓW



Śniegołazy to jeden z największych nocnych marszów długodystansowych organizowanych zimą na Pomorzu. Impreza jest skierowana do osób, którym niestraszna jest 50-kilometrowa wędrówka w trudnych warunkach. Podczas długiego marszu zmierzają się z własnymi słabościami, niskimi temperaturami i śniegiem.

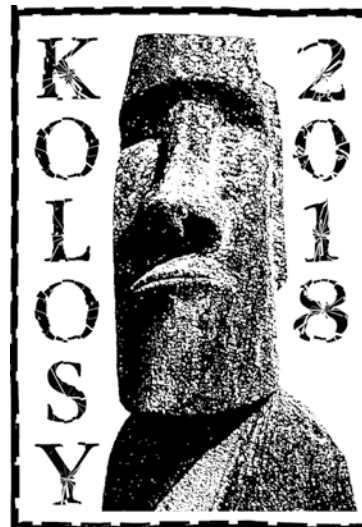
Dwie grupy piechurów startują równocześnie z przeciwległych krańców trasy. W połowie wszyscy spotykają się na wspólnym, pokrzedającym ognisku, a następnie każda grupa podąża w kierunku, z którego nadeszła druga ekipa. W tym roku trasa wiedzie niebieskim Szlakiem Rzeki Wierzycy między Starogardem Gdańskim a Gniewem.

Udział w wydarzeniu jest bezpłatny, a uczestnicy w ramach akcji „Łazimy dla dzieci!” wspierają Hospicjum Pomorze Dzieciom. Najbliższa, 14. edycja Śniegołazów odbędzie się w nocy z 16 na 17 lutego br. Szykujcie czołówki, dobre buty i ciepłe swetry! www.akkgdakk.pl/sniegolazy

KOLOSY PO RAZ 20.

Kolosy zostaną w tym roku przyznane już po raz dwudziesty. Kto je otrzyma, rozstrzygnie się 8–10 marca podczas XXI Ogólnopolskich Spotkań Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów w Gdyni. To największe tego typu wydarzenie w Europie. Będą wspomnienia (m.in. wybrane, najciekawsze pokazy z ostatnich lat), specjalni goście, którzy tworzyli wyjątkowy klimat imprezy przez dwie dekady, oraz okolicznościowa wystawa. W piątek zaprezentują się nominowani do nagród alpinistów, żeglarzy i speleolodzy, w sobotę zaś zobaczymy relacje z wypraw zakwalifikowanych do Kolosów w kategoriach „Podróże” i „Wyczyn roku”. Niedzielę zdominują pokazy

specjalne. Jak co roku Kapituła przyzna nagrody i wyróżnienia w pięciu kategoriach, zostanie też wręczony Super Kolos, dowiemy się też, kto zostanie zwycięzcą Nagrody im. Andrzeja Zawady i Nagrody Wiecznie Młodzi, konkursu FotoGlob oraz nagród publiczności. W programie imprezy znajdują się również seminaria, warsztaty, spotkania z autorami książek i wydawcami, salon sprzętu outdoorowego oraz wystawa z okazji jubileuszu 20-lecia Kolosów. Wstęp na wszystkie wydarzenia odbywające się podczas Kolosów jest wolny. Z sobotnich prezentacji na tzw. dużej sali w hali Gdynia Arena zostanie przeprowadzona transmisja online. www.kolosy.pl



CZAPKINS HISTORIA TOMKA MACKIEWICZA

Tomek Mackiewicz, Czapkins, przez całe życie zmieniał niemożliwe w realne. Osiem lat temu wyznaczył sobie cel – jako pierwszy człowiek wejść zimą na wierzchołek Nanga Parbat. Do wyścigu przystąpiły największe gwiazdy himalaizmu, ale Czapkins nie chciał się ścigać. I nie chciał być gwiazdą. Chciał zdobyć nieobliczalną Nagą Górę na własnych zasadach.

Dominik Szczepański był świadkiem zmagania Tomka Mackiewicza z Nagą Górą podczas słynnej wyprawy w 2016 r. Opisał je w książce „Nanga Parbat. Śnieg, kłamstwa i góra do wyzwolenia”, której był współautorem. Po śmierci Mackiewicza Szczepański wyruszył w podróż wiodącą od Działoszyna, gdzie

Tomek przeżywał pierwsze przygody, aż po bazę pod Nanga Parbat w Pakistanie. O Tomku opowiadają ojciec Witold, była żona Joanna Kondracka, przyjaciele z Polski i Irlandii. Elisabeth Revol przywołała wspomnienia wspólnych wypraw i losy niezwykłego partnerstwa, które zaprowadziło ich na szczyt Nanga Parbat. Przebieg brawurowej akcji ratunkowej opisują emocjonująco uczestnicy zdarzeń. O Tomku opowiada również Anna Solska-Mackiewicz, dla której był największą miłością w życiu. Dzięki tym spotkaniom Dominik Szczepański stworzył wielowymiarowy portret człowieka, który stał się legendą, choć wcale tego nie pragnął. Wydawnictwo Agora.

„WITAJCIE NA CHOLERNEJ ARKTYCE”



To opowieść młodej kobiety, która stawiała czoła własnym lękom i odnalazła dom na mroźnej Arktyce. Blair Braverman ma niespełna 18 lat, gdy udaje się na Arktykę, by uczęszczać do szkoły ludowej, nazywanej też szkołą życia. Odbywa trudną podróż przez śnieżycę, klaustrofobiczne jamy w śniegu i pulsującą zorzę polarną. Poznaje tajniki prowadzenia psich zaprzęgów, walczy o życie podczas jednego z treningów i próbuje być tak dzielna i wytrzymała, jak to tylko możliwe. W próbie oswojenia surowej Północy chodzi bowiem o coś więcej niż pokonanie zimna.

W krainie bezkresnej bieli Blair mierzy się ze światem, którego zasady ustalają twardzi mężczyźni. Kobiety są traktowane z góry – tym bardziej „obce”. Kiedy autorka próbuje funkcjonować w zamkniętych społecznościach małych arktycznych wiosek, bardziej niż innych poznaje samą siebie.

Z młodej, niepewnej dziewczyny staje się silną i nieustraszoną kobietą.

Blair Braverman z wykształcenia jest literaturoznawcą, a z miłości do zimy i śniegu – mieszkanką Alaski. Jako nastolatka była molestowana przez ojca rodziny goszczącej ją podczas wymiany szkolnej w Norwegii. To wydarzenie zaważyło na jej życiu i sprawiło, że złożyła sobie obietnicę: „będę wracała do tej zimnej krainy dopóty, dopóki nie odzyskam straconej odwagi i nie poczuję się bezpiecznie na tej ziemi i we własnej skórze”. Kiedy miała 18 lat, wyjechała ze słonecznej Kalifornii, by spróbować życia w krainie wiecznej zimy, nauczyć się powozić psimi zaprzęgami i zostać przewodnikiem turystycznym na Arktyce. O swoim życiu na Północy pisała dla „This American Life”, „Outside” oraz „The Guardian”. Na co dzień trenuje ze swoimi ukochanymi husky, by startować w zawodach psich zaprzęgów, i nadal odkrywa uroki koła podbiegunowego. Wydawnictwo Kobiectwo.

SAUDYJKA ZA KIEROWNICĄ

Manal asz-Szarif dorastała w tradycyjnej saudyjskiej rodzinie w Mekce, w czasie kiedy Arabia Saudyjska pozostawała pod silnym wpływem islamskich fundamentalistów. Sama również uległa indoktrynacji radykałów – jako nastolatka niszczyła kolorowe czasopisma matki, kasety brata i własne szkicowniki zawierające zabronione rysunki istot żywych. Nic nie wskazywało na to, że już niedługo przeciwstawi się tyrańskiemu rządowi i stanie się znaną na całym świecie aktywistką walczącą o prawa saudyjskich kobiet. Podjęła studia na uniwersytecie, a później pracę w koncernie Aramco. Coraz częściej doświadczała jednak dyskryminacji ze względu na płeć. Bez zgody męskiego opiekuna nie mogła

wynająć pokoju, złożyć wniosku w urzędzie, korzystać z pomocy medycznej. Najbardziej bolało ją to, że mimo posiadania własnego samochodu i prawa jazdy otrzymanego podczas pobytu za granicą nie mogła kierować pojazdem i była zdana na łaskę taksówkarzy oraz młodszego brata. Któregoś dnia postanowiła się zbuntować i ogłosiła w internecie, że w dniu swoich 32 urodzin usiądzie za kierownicą, wyjedzie na ulice miasta i... będzie tworzyć historię.

Za swój protest została aresztowana. Zwolniono ją po nagłośnieniu sprawy przez międzynarodowe media i organizacje. Manal stała się ikoną walki o prawa kobiet w Arabii Saudyjskiej. Wydawnictwo W.A.B.

SAUDYJKA ZA KIEROWNICĄ



NIEZWYKŁA OPowieść O SILE KOBIEĆ
MANAL ASZ-SZARIF

TAJEMNICE PUSTYNI JUDZKIEJ

Elżbieta i Piotr Hajduk



Autonomia Palestyńska to dziwny twór o nieregularnych granicach, uznawany przez jednych, negowany przez drugich. Do tego nasycony historią, która zmieniła oblicze ludzkości. Dziś jego nazwa kojarzy się głównie z konfliktem rozgrywającym się w krainie uświęconej obecnością Boga. Ale ta ziemia jest nadal celem licznych pielgrzymek, zwłaszcza do Jerozolimy, która leży na terytorium Izraela. Znacznie rzadziej jest odwiedzana Autonomia, choć naprawdę nie brak w niej miejsc godnych zobaczenia.



FOT. ELIZBETA / PÓTR. HALDRAK

Pomiędzy zwaśnionymi krajami rozciąga się Pustynia Judzka. Kilometry suchych, pofałdowanych wzgórz i skalnych wzniesień zaczynają się tuż za Jerozolimą, a sięgają aż po Morze Martwe. Monotonny, bezludny krajobraz pełen ciszy i surowego piękna sprzyja odosobnieniu i modlitwie. Niedługo licznie przybywali tu pustelnicy. Pozostały po nich malownicze eremy, ukryte na pustkowiach między niegościnnymi górami, niektóre wciąż zamieszkałe.



Kilkanaście kilometrów od Betlejem znajduje się słynna ławra św. Saby, którą muzułmanie nazywają Mar Saba. Bliżej Jordanu leży, przyklejony do skał, monaster św. Jerzego Koziby. Stąd już niedaleko do Jerycha, nad którym góruje Góra Kuszenia z klasztorem o tej samej nazwie. To tutaj szatan przez 40 dni mamił Zbawiciela, ofiarowując mu wszystkie królestwa świata...

Aby móc się swobodnie poruszać po terenie Autonomii, konieczny jest palestyński kierowca z samochodem. Najłatwiej znaleźć go w Betlejem, dokąd z Jerozolimy kursują arabskie autobusy. Oba miasta dzieli tylko 20 km, ale też i kulturowa przepaść, która poróżniła Izrael z Palestyną. Te państwa to dwa odrębne światy i chichotem historii jest, że muszą żyć obok siebie.

Wsiadamy na dworcu opodal bramy Damasceńskiej. W autobusie nie widać żadnego Żyda i chyba sobota, dzień szabatu, nie ma tu nic do rzeczy. Starozakonni po prostu bojkotują muzułmańskie środki transportu. Wnętrze pojazdu powoli się zapełnia, wsiadają kobiety o twarzach zasłoniętych chustami, młodzi Arabowie, nieliczni turyści i zakonnik z różańcem w dłoni.

Autobus opuszcza Jerozolimę i szeroką asfaltową szosą mknie w kierunku palestyńskiej granicy. Kraje dzieli mur, który zbudowali Izraelczycy, oficjalnie celem ochrony swoich obywateli przed atakami terrorystycznymi. Wysoka i gruba betonowa ściana, miejscami zwieńczona kolczastym drutem sprawia przynębiające wrażenie.

GDZIE SZATAN KUSIŁ JEZUSA

Klasztor na Górze Kuszenia skrywa grootę, w której Chrystus miał pościć 40 dni i nocy. Zwiedzający mogą się tam dostać pieszo lub kolejką linową.

TAKSÓWKA DLA LENIWYCH

Osiłek przy drodze do klasztoru św. Jerzego Koziby czeka na co bardziej leniwych pielgrzymów.



FOT. ELIZBETA / PÓTR. HALDRAK



TYLKO JEDNO UJĘCIE!

Choć w klasztorze Mar Saba nie wolno robić zdjęć, mnisi czasami przymykają oko i pozwalają na to jedno ujęcie. I chwała Bogu! Bo ikonostas przedstawiający śmierć założyciela klasztoru zachwyca barwami i przepychem.

O wjeździe na terytorium Autonomii informuje duża, czerwona tablica z ostrzeżeniem w trzech językach – hebrajskim, arabskim i angielskim: „Ta droga wiedzie do strefy A pod kontrolą władz palestyńskich. Wjazd dla obywateli Izraela jest zakazany, zagraża twojemu życiu i łamie izraelskie prawo”. Za tablicą rozpoczyna się świat wyznawców Allaha. Zabudowa staje się ciaśniejsza, a niebo drapią ostre wieżyczki minaretów. Przy drodze pojawiają się sterty śmieci, chętnie odwiedzane przez

kozy, stanowiąc jaskrawy kontrast z czystymi szosami w Izraelu.

U ŚWIĘTEGO SABY

Jazid ma ciemne włosy, które odgarnia z czoła niecierpliwym ruchem ręki. Z jego szerokich, arabskich ust nie schodzi uśmiech, kiedy zachwala swoją żółtą taksówkę. – *Zarwiozę was, dokąd chcecie. Jerycho? Mar Saba? A nie wolicie zobaczyć grobu króla Heroda?*



Niedaleko Betlejem znajduje się Herodion, twierdza zbudowana przez tego wielkiego władcę, który na wieść o narodzinach Mesjasza urządził rzeź niewiniątek. W świetle ostatnich badań tam właśnie znalazł miejsce wiecznego spoczynku, a jego duch podobno błąka się po murach, dręczony wyrzutami sumienia. Jednak nie dla króla tu przyjechalismy. Kilkanaście kilometrów stąd znajduje się zagubiony na Pustyni Judzkiej prawosławny klasztor św. Saby. Nasz kierowca patrzy ze zdumieniem



i nieznacznie wzrusza ramionami – pominąć twierdzą dla klasztoru?

Wąska szosa opuszcza zabudowania miasta i wiedzie w kierunku szczerzej pustyni. Gdzieś tam stoją jeszcze pojedyncze domostwa, ale wkrótce znikają i one. Droga staje się coraz węższa, asfalt miejscami ustępuje miejsca szutrowi. Po obu stronach, aż po horyzont, ciągną się rudawe wzgórza, wysuszone przez słońce i wiatr. Jałowego krajobrazu nie ożywia nawet najmniejsza plamka zieleni, wszędzie tylko skały i kamienie. Ich surowe piękno tchnie spokojem. Pustynia Judzka, jedna z najmniejszych na świecie, jest pełna malowniczych widoków. Jej wzniesienia są poprzecinane głębokimi kanionami, wyłobionymi w skałe korytami płynących rzek. Niektóre z nich, zwane *wadi*, są okresowe, inne toczą wodę przez cały rok, tworząc oazy.

Wkrótce góry się rozstępują i odsłaniają ogromny monaster zbudowany na

ŚW. SABA POWRÓCIŁ

Sześciokątna kaplica zbudowana w pierwotnym miejscu pochówku św. Saby. Jego zabalsamowane zwłoki, od czasu wypraw krzyżowych przechowywane w Wenecji, niedawno powróciły i zostały złożone w głównym kościele klasztoru.



FOT. LEZBETA / PHOTOBANK

WĘZYKIEM, WĘZYKIEM...

Szosa do Jerycha prowadzi przedmieściami i wzdłuż zaniedbanych palestyńskich osiedli. Z racji swoich licznych zakrętów jest nazywana drogą węża. Dawniej wiodła tędy wąska ścieżka przez góry, pokonywana na osłach.

stromym urwisku. Potężna, masywna budowla, częściowo wykuta w skale, przypomina fortecę. Wokół panuje przejmująca cisza i tylko wyniosłe, piaskowe ściany wznoszą się ku niebu w niemej modlitwie. Znużony Jazid wysiada z auta, próżno szukając cienia. – *Poczekam tutaj* – oznajmia z westchnieniem.

Mar Saba to jeden z najstarszych klasztorów świata. Został założony w V w. przez św. Sabę Jerozolimskiego, pustelnika, którego relikwie niedawno tu powróciły z dalekiej Wenecji na życzenie miejscowych mnichów. Opoдал zachowała się jaskinia Saby, w której święty mieszkał i medytował. Prowadzi do niej wąska, kamienista ścieżka przez góry.

Dziś mieszka tu zaledwie dwudziestu zakonników. Jak przed wiekami, wzorem swojego założyciela, spędzają życie na modlitwie, postach i posługach, obywając się bez elektryczności i wygod. Jednak nie żyją już w ubóstwie, a główna kaplica wręcz poraża przepychem. Może właśnie dlatego

nie wolno robić zdjęć. Do wnętrza nie mają wstępu kobiety. Mogą jedynie podziwiać to miejsce ze specjalnie dla nich zbudowanej Wieży Kobiet. Niestety, ta budowla pozostaje dzisiaj zamknięta, podobno otwierana jest tylko kilka razy w roku, w okresie wielkich świąt.

DROGĄ WĘŻA

Kierowca nie wydaje się zadowolony z naszego powrotu. Zarobek miła rzecz, ale upał rozleniwia. Niespiesznie opuszcza wygodne legowisko, które urządził sobie z tyłu auta. Ruszamy dalej. Za oknami przesuwa się monotony krajobraz. Po rozległych, bezludnych przestrzeniach hula gorący wiatr, wzniciając tumany kurzu. Tutaj mogą żyć tylko Beduini, którzy przez lata przystosowali się do mieszkania w tej niegościnniej krainie. Co jakiś czas mijamy ich osiedla, namioty i tymczasowe domy z dachami pokrytymi kawałkami blachy falistej.



FOT. ELIZBETA POPIR

Auto Jazida mozolnie wspina się pod górę. Miejscowi nazywają ją *snake road*, drogą węża, z racji licznych i niebezpiecznych zakrętów. Niegdyś podróżowano tędy na osłach, ale cywilizacja ma swoje prawa i dziś asfaltową szosą mkną liczne samochody. Nerwowi kierowcy wymijają się slalomem, raz z lewej, raz z prawej strony. Jazid klnie i wyzywa ich od kretynów, ale na kolejnym zakręcie sam wyprzedza pod górę i na podwójnej ciągłej, o włos unikając kolizji.

Na poboczach walają się sterty śmieci. Tutejsze przedmieścia to często wysypiska pełne nieczystości. Bezpańskie zwierzęta szukają resztek. Kłują w oczy sterty starych, zardzewiałych aut. Osiedla sprawiają przygnębiające wrażenie – lepianki sklecone z byle czego, stojące jedna przy drugiej. Za to nieco dalej, na wzgórzach – kolorowe, równe bloki, lśniące czystością i dobrobytem. To osiedla żydowskie.

Palestyna zajmuje obecnie dwa terytoria, zamieszkałe głównie przez Arabów – Strefę Gazy i Zachodni Brzeg Jordanu. Zgodnie

z zawartym porozumieniem podzielono je na obszary o różnym statusie. Strefa A obejmuje tereny pod kontrolą Autonomii Palestyńskiej. Tutaj Żydzi nie są mile widziani. Strefa B to obszary pod nadzorem mieszanym, gdzie władzę sprawują Arabowie, ale militarną kontrolę zachowuje armia izraelska. Natomiast strefa C stanowi punkt zapalny, ponieważ budowa takich „kolorowych osiedli” wzbudza wiele kontrowersji. Palestyńczycy odbierają ją jako kolonizację swojej ziemi, ale rząd izraelski popiera to osadnictwo, kusząc swoich obywateli ulgami podatkowymi i ogromnymi nakładami na rozwój infrastruktury.

Mimo wrogiego otoczenia Żydzi chętnie zasiedlają arabskie terytoria. Niższe koszty utrzymania to tylko jedna z przyczyn ich decyzji. Najważniejszy jest powrót do Ziemi Obiecanej, powoli i systematycznie wydzielanej muzułmanom, pomimo podpisywanych układów. Tak więc na ziemiach palestyńskich wciąż powstają nowe, zamknięte dla Arabów żydowskie drogi oraz osiedla otoczone

W MIEŚCIE STARYM JAK ŚWIAT

Jerycho uchodzi za najstarsze miasto świata – archeolodzy odkryli tu resztki osiedli datowanych na ok. 9000 r. p.n.e.

NAD PRZEPAŚCIĄ

Początki klasztoru św. Jerzego sięgają 420 r. Został zniszczony przez Persów (614 r.), a następnie odbudowany przez cesarza Bizancjum. Przez wieki niszczał i dopiero pod koniec XIX w. powstał na nowo. Wisi, przyklejony do skały, nad otchłanią wąwozu Wadi al-Kilt.

specjalnymi ogrodzeniami. Pieczę nad nimi sprawuje izraelska armia, co dodatkowo drażni mieszkańców Autonomii.

JASKÓŁCZE GNIAZDO

Monaster św. Jerzego Koziby został zbudowany na stromym urwisku wznoszącym się nad wąwozem Wadi al-Kilt. Do klasztoru prowadzą dwie drogi. Ta dłuższa biegnie dnem rozpadliny, mijając resztki akweduktu zbudowanego przez Heroda. Krótsza trasa odchodzi od bocznej drogi prowadzącej do Jerycha.

Jazid zatrzymuje samochód przy niewielkim placu ulokowanym na wysokim wzniesieniu. Stąd klasztoru jeszcze nie widać, wiedzie do niego stroma droga w dół. Nieduży osiołek przykryty kolorową derką czeka na leniwych pielgrzymów. Kto chce, może go dosiąść, za odpowiednią opłatą oczywiście. Bardziej skąpi muszą iść pieszo w upale sięgającym 40°C. Nieruchome duszne powietrze drży z gorąca, ale wszelki wysiłek wynagradza otwierająca się wokół panorama. Jedna z gór przygarnęła klasztorne zabudowania. Przylepione do skały, wiszą



nad przepaścią niczym jaskółcze gniazdo, urągając prawom natury.

Droga wciąż zbiega w dół krętymi zakolami, odsłaniając nowe widoki. U podnóża masywu przegradza ją kuta ażurowa brama. To pierwsza klasztorna furta, na szczęście gościnnie otwarta. Stąd już niedaleko do celu, jeszcze tylko malowniczy kamienny mostek i drugie wrota. Tutaj wita wędrowców tabliczka z godzinami odwiedzin – codziennie od 9 do 12. Zostało tylko 15 minut. Upał nagle przestaje doskwierać, więc resztę drogi, tym razem pod górę, pokonujemy biegiem.

Stukamy w zamknięte na głucho drzwi. Po dłuższej chwili rozlega się zgrzyt zamka i pojawia się ubrany na czarno mnich. Zdążyliście! Święty Jerzy jest bardziej wyrozumiały od św. Saby: do wnętrza mogą wejść także kobiety, pod warunkiem że mają odpowiedni strój, zasłaniający ciało i włosy. Zakonnik oferuje nawet szeroką, ciemną szatę i pospiesznie znika.

Mury klasztoru zostały podniesione z ruin w XIX w., ale monastyr ma długą historię. Mnisi żyli tutaj już w IV w., zajmując górskie grotty. Odosobnienie oraz surowe piękno krajobrazu sprzyjały medytacjom i modlitwie. W VI w. wzniesiono pierwszy klasztor. Zachowała się po nim jedynie posadzka mozaikowa, która zdobi dzisiaj malutką cerkiew pod wezwaniem św. Jerzego. W niej znalazł miejsce wiecznego spoczynku obecny patron klasztoru, który według legendy obronił go przed najazdem perskim w 614 r.

W ciemnym, przesiąkniętym dymem świec wnętrzu „znajomy” zakonnik pojawia się znienacka jak duch. Koniec odwiedzin. Trzeba opuścić gościnne mury. Dziś już nikt tutaj nie wejdzie.

NA GÓRZE KUSZENIA

Pobliskie Jerycho jest uważane za jedno z najstarszych, nieprzerwanie

zamieszkanymi miast świata. Położone w głębokiej dolinie rzeki Jordan, pamięta nie tylko Chrystusa, ale czasy biblijnych proroków. Jego mury runęły, zgodnie z obietnicą Boga Jahwe, na dźwięk złotych trąb, kiedy Izraelici zdobywali Ziemię Świętą. Wokół rozciągają się pola uprawne pełne palm daktylowych, klimat sprzyja tu uprawie tych owoców.

Nad miastem wznosi się Góra Kuszenia z przyklejonym na zboczu klasztorem ortodoksyjnych Greków. Można tam dotrzeć wygodną kolejką, zbudowaną przy okazji pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II. Ceny biletów są jednak niebotyczne. Nic dziwnego, że kasa świeci pustkami.

– *Czy nie ma innej drogi?*

– *Można iść pieszo* – Jazid mamrocze nie-
pewnie. – *Ale ten upał...*

– *No to gdzie ta droga?* – nie ustępujemy.

– *Podwiozę was* – kapitułuje z westchnieniem. Już wie, że prowizji ze sprzedaży biletów nie będzie.

Asfaltowa szosa pnie się w górę licznymi zakrętami. Na poboczach stoją pojedyncze samochody, widać nie tylko my tu wjeżdżamy. Jazid posuwa się wciąż wyżej i wyżej, w końcu zatrzymuje się nieopodal klasztoru. Stąd do wejścia tylko kilkadziesiąt kamiennych stopni.

Góra Kuszenia od wieków przyciągała spragnionych samotności, którzy pragnęli oddać swoje życie Bogu. Dla nich wybudowano dwa kościoły, jeden nad samym urwiskiem, a drugi na szczycie. Żaden z nich nie oparł się jednak próbie czasu. Obecny klasztor skrywa grotę, w której Chrystus miał pościć 40 dni i nocy. Przekształcono ją w kaplicę z ozdobnym ikonostasem i obrazem przedstawiającym scenę kuszenia. Ale do najświętszego miejsca jeszcze kawałek. Mała kapliczka z ołtarzem we wnęce ukrywa spory kamień. To na nim siadał Jezus, w milczeniu przygotowując się do swojej misji zbawienia świata. I tu, w samotności, odpierał ataki szatana.

Kończymy zwiedzanie. Jazid zresztą przynagła do powrotu. Dla niego kończy się pracowita dniówka. Najwyższy czas wracać do rodziny. Wsiadamy w Betlejem. Nasz kierowca żegna się wylewnie i pospiesznie znika. ◉



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista.
On inżynier, umysł ścisły.
Zjeździli razem pół globu.
On w podróżach szuka mocnych
wrażeń, ona – urody świata.
I każde znajduje to, co lubi.
Wspólnie z córką Kasią napisali
książkę o podróży po Afryce
„Dalej są tylko lwy”.



Z BILETEM W JEDNĄ STRONĘ

CZYLI CZYM SIĘ RÓŻNI PODRÓŻ OD PRZEPROWADZKI



FOT. PIVABAY.COM

Zrobiłam to! Kilka miesięcy temu na łamach miesięcznika *Poznaj Świat* dzieliłam się z Wami tysiącem wątpliwości przed możliwością czasowej przeprowadzki za granicę. Przyznaję bez bicia: to był rodzaj autoterapii. Choć nie mogę Was, Czytelników, zobaczyć ani usłyszeć, to pisząc dla Was, wyobrażam sobie, co byście powiedzieli. No więc wyobraziłam sobie, że radzicie mi skorzystać z okazji i wyjechać. Mam nadzieję, że dobrze mi się zdawało, bo posłuchałam i w tej chwili piszę dla Was z innego kontynentu.

Oszczędzę Wam szczegółów przeprowadzki i nowego adresu, może jeszcze kiedyś o tym opowiem. Dziś mam dla Was garść bardziej uniwersalnych obserwacji. Po raz pierwszy w życiu na własnej skórze odczuwam, czym różni się podróż, z natury tymczasowa, od zamieszkania w jakimś miejscu na stałe, a w każdym razie na dłużej. Dotąd mogłam to sobie tylko wyobrażać. Dziś mogę podzielić się już skromnym doświadczeniem.

Choć podróżowałam sporo, przed przeprowadzką nigdy nie byłam w USA. Powód? Jestem podróżniczą perfekcjonistką. Miejsca, które odwiedzam, zwiedzam do upadłego. Nie wyjadę, dopóki nie zobaczę wszystkiego albo przynajmniej wszystkiego, co najważniejsze.

A w przypadku Stanów to niemożliwe, w każdym razie nie w trakcie standardowego, kilkutygodniowego urlopu. Dlatego moje wakacje tutaj byłyby z góry skazane na porażkę i gorzki smak frustracji. Jeszcze dobrze nie postawiłabym nogi na terytorium kraju, wielkim jak cała Europa, a już musiałabym wracać, zła, że zobaczyłam ledwie ułamek całości. Odkładałam ten wyjazd na emeryturę albo na złote lata po wygranej na loterii. I proszę – zdarzyło mi się coś w rodzaju wygranego losu.

Zatem różnica pierwsza: wyjazd z biletem w jedną stronę zdejmuje z nas presję czasu. Nie trzeba kalkulować, planować, układać napiętego harmonogramu atrakcji, codziennie ślęcząc nad mapą i kalendarzem. Zamiast wyścigu z czasem

można udać się na niespieszną przechadzkę i spokojnie czekać, co pojawi się za rogiem. W przenośni i dosłownie, bo kiedy zegar nie odmierza czasu do powrotu, łatwiej zwolnić obroty. Zamiast rajdu wynajmowanym samochodem, żeby wszystko obskoczyć, poruszam się głównie pieszo lub komunikacją. Nie wypełniam dni atrakcjami, które ogląda się po łebkach. Nie gonię za nowym. Chodzę powtarzającymi się trasami, za to wreszcie mam czas na uważność i przyglądanie się szczegółom. Dostrzegam okrucy codzienności, które łatwo przeoczyć w turystycznej pogoni. Rano drogę przebiegają mi szare wiewiórki. Wyprowadzaczka psów balansuje na krawężniku, kiedy tabun zwierzaków rozbiega się w przeciwnie strony. A wszyscy ludzie chodzą

z kubkami kawy w rękach, nawet mama obwieszona dziećmi albo kurier przerzucający kartony do furgonetki.

Różnica druga – mieszkanie. Nie wynajmuję hotelowego pokoju, który ktoś za mnie urządził i ktoś za mnie sprzątnie. Musiałam znaleźć swój nowy dom i przebrnąć przez zawiłości lokalnego rynku nieruchomości. A przy okazji sporo dowiedzieć się o tutejszej zabudowie. Na przykład, że zdumiewająca liczba mieszkań jest wąska na szerokość łóżka, a pralka to prawdziwy ewenement, bo instalacje nie pozwalają na jej podłączenie. Że niczym dziwnym nie jest mieszkanie w suterenie ani posiadanie kilku pokoi bez okien. Że w urokliwych, starych budynkach podłogi osadzone na drewnianych stropach falują tak, że jeżdżą po nich walizki. Nie miałabym o tym pojęcia, gdybym nocowała w hotelu.

Ominęłyby mnie też wiele atrakcji w urzędach i instytucjach. Bo gdy jedziemy na urlop, nie trzeba zakładać konta, wyrabiać numeru identyfikacji podatkowej, ani zdawać egzaminu na miejscowe prawo jazdy. Nie trzeba stać w kilkugodzinnych kolejkach tylko po to, żeby dowiedzieć się, że brakuje jeszcze jednego kwitka i trzeba wrócić kolejny raz. I kolejny. A przecież podczas tkwienia w bezruchu w oczekiwaniu na swoją kolej można się tyle dowiedzieć o sąsiadach i całym społeczeństwie. Jest też czas, żeby chwilę pomyśleć. Skąd jestem? Dokąd zmierzam? Gdzie i kim chcę dzisiaj być?

W czasie urlopu nie miałabym też kiedy korzystać z uroków miasta zarezerwowanych dla stałych mieszkańców. Na przykład z chodzenia do teatrów albo wyrobienia karty do lokalnej biblioteki i wypożyczania z niej książek. Nie odkryłabym, że te książki po przeczytaniu mogą wrzucić do specjalnego kontenera, bez konieczności przyścia do placówki w godzinach otwarcia. Uszłoby pewnie mojej uwadze wiele innych drobnych różnic w codziennych sprawach. Na przykład to, że tutaj nikt nie używa proszku do prania (zamiast niego stosuje się płyny). Albo że na stacji benzynowej musisz zapłacić przed, a nie po nalanu paliwa.

Weźmy też zakupy. Codziennosc w jakimś miejscu przenosi nas na inny wymiar kupowania. Codziennie mijam sklepy z pamiątkami, ale dotąd nie kupiłam ani jednej. To proste: przecież tu jestem, nie muszę niczego ocalać od zapomnienia.

Chodzę za to wśród sklepowych półek w spożywczym i próbuję lokalnych niezbędników: chleba tostowego, purée z proszku, błyskawicznego makaronu z serem. Dziwię się brakiem znajomych przypraw (gdzie jesteś, ziele angielskie?) i serków homogenizowanych. Dowiaduję się, że apetyczne, pomarańczowe bulwy *yams* to po polsku mało zachęcająco brzmiący pochrzyn. Za to z mięsem kraba jest odwrotnie – po polsku brzmi dobrze, a miejscowi nazywają je *lump*.

Na co komu ta wiedza, spytacie? (tak, tak, znów mam Was przed oczami). Czy jest się czym ekscytować? Drobne codzienne niuanse mogą wypadać blado na tle wycieczki puchnącej od wrażeń. Ale

coś mi podpowiada, że mogą na dłużej zostać w pamięci. Może nie przywiezie imponujących pamiątek i kolekcji niesamowitych zdjęć. Nie wycisnę z tego miejsca wszystkiego, co ma do zaoferowania, by za chwilę ruszyć w kolejne podboje. Ale zyskam coś cenniejszego: odpowiedź na pytanie, jak to jest nie musieć wracać. ○

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

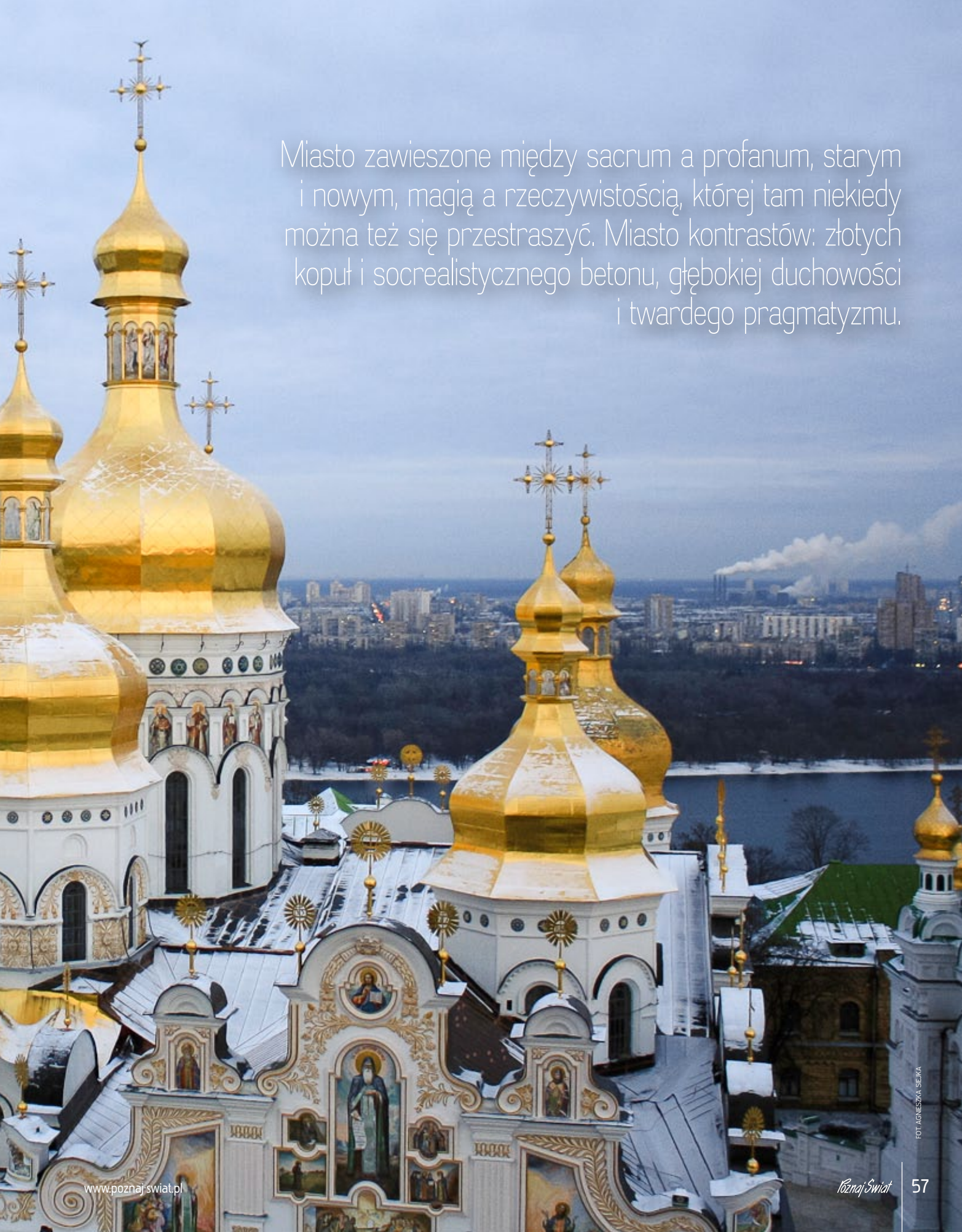
R E K L A M A

LEGENDY KIJOWA

Stanisława Budzisz-Cysewska

MATKA MONASTYRÓW

Ławra Peczerska to najważniejsza świątynia całego wschodniosłowiańskiego prawosławia i zarazem jeden z największych kompleksów klasztornych Ukrainy. Jako zabytek została wpisana na listę UNESCO.



Miasto zawieszone między sacrum a profanum, starym i nowym, magią a rzeczywistością, której tam niekiedy można też się przestraszyć. Miasto kontrastów: złotych kopuł i socrealistycznego betonu, głębokiej duchowości i twardego pragmatyzmu.



KIJ Z RODZEŃSTWEM

Legendarni założyciele Kijowa stanęli w centralnym punkcie miasta, placu Niepodległości (Majdanie Niezależności). Pomnik rodzeństwa – Kija, Szczeka, Chorywa oraz ich siostry o imieniu Łybedź – jest jednym z najczęściej fotografowanych miejsc stolicy.

Kijów to z jednej strony brutalne wydarzenia ostatnich lat, z drugiej zaś bajkowa tajemnica. Ta wschodnioeuropejska metropolia jest jedną z najstarszych w Europie, a do tego kolebką słowiańskiej cywilizacji. To miejsce, które wiele widziało i kryje w sobie niejedną tajemnicę. Nic dziwnego, w końcu jego rodowód sięga V w. Zapraszamy na spacer po mrocznych zakamarkach tego miasta.



ŁYSE GÓRY

W naszej kulturze łyse góry kojarzą się z siłami nieczystymi. To na nie czarownice zlatują na sabaty i urządzają tajemne spotkania z diabłem, często o zabarwieniu erotycznym. Takie pagórki były też miejscami kultu starosłowiańskich bogów. Mówi się, że w Kijowie „łysych” jest aż 13. I wszystkie są owiane złą sławą. Jedną z nich, Zamkowa Góra, znajduje się tuż obok Andrejewskiego Zjazdu. To tutaj przyjeżdżają magowie, wiedźmy i *kołdunie* (czarownice) z całego kraju, aby naładować się energią. Legenda miejska głosi, że na szczycie wieczorową porą można się natknąć na widma mniszek, których groby znajdują się niedaleko.

Zamkową pobija grozą tylko Łysa Góra na Wydubiczach – najbardziej mroczne ze wszystkich kijowskich wzniesień. W czasach



FRESKI NAD KIJOWEM

Sobór Zaśnięcia Matki Bożej zachwyca złotymi kopułami, pysznięcymi się nad Kijowem. Przyciąga także niezwykłymi freskami, utrzymanymi zresztą w doskonałym stanie.

Rusi Kijowskiej była to najważniejsza góra Słowian i ponoć do dziś odbywają się tam rytuały związane z czarną magią. W jej głębi, na polanie, stoją cztery trzymetrowe drewniane pomniki starosłowiańskich bogów. Każdego roku, w nocy z 30 kwietnia na 1 maja, odbywa się tu wielkie święto – czarodzielnica, czyli słowiański odpowiednik germańskiej nocy Walpurgii.

To jeden z najstarszych europejskich obrzędów. Czarodzielnica jest poświęcona bogini urodzaju i płodności – Mokošy oraz Welesowi, bogowi zmarłych. Jest to noc pełna czarów, kiedy władza nad światem na kilka godzin przechodzi w ręce zmarłych. To czas, kiedy gasną wszelkie ognie – tylko po to, by za chwilę na nowo zapłonąć. Wraz z ich rozpaleniem mija czas zimy i na nowo nadchodzi królestwo Słońca. Czarodzielnicy od zawsze towarzyszą

ogniska, śpiewy i biesiada. Niemniej w tę noc trzeba być ostrożnym, bo budzą się demony...

DOM POD NUMEREM 13

Na najważniejszą z kijowskich łysych gór wyglądają okna domu-muzeum Michaiła Bułhakowa, autora jednej z najbardziej mistycznych rosyjskich powieści „Mistrz i Małgorzata”. Jak twierdzą kijowianie, zarówno magnetyczna Małgorzata, jak i tajemniczy kot Behemot lubią zniecka pojawić się w okolicy Andrejewskiego Zjazdu 13. Warto zwrócić uwagę, że numer domu to nie tylko ciesząca się kiejską sławą liczba. Tyle lat także Bułhakow mieszkał w tym miejscu.

Zdaniem pracowników muzeum, którzy do Małgorzaty i Behemota przywykli, przy Andrejewskim 13 mieszka *domowoj*



BOHATEROM WOLNOŚCI
Miejsce pamięci
Niebiańskiej
Sotni – bohaterów,
którzy zginęli podczas
rewolucji godności
na kijowskim Majdanie
(listopad 2013 –
lutym 2014).

(domowy duch), który najbardziej uaktywnia się w momencie remontów. Przeszkadza robotnikom, chowa przedmioty, dokucza. Ponoć nie lubi zmian.

CÓRKI ARCHITEKTÓW

Kijów lubi historie o zmarłych córkach architektów, które nie zagnały spokoju po śmierci. W całym mieście jest ich wiele, ale dwie są szczególnie ciekawe. Według kijowian inspiracją jednego z najbardziej oryginalnych budynków miasta była samobójcza śmierć w wodach Dniepru córki Władysława Horodeckiego. Niektórzy twierdzą, że Dom z chimerami to fantastyczny grobowiec zaprojektowany przez zrozpaczonego ojca. Z fasady budynku patrzą na nas syreny, kraby, krokodyle, z dachu swoje głowy wystawiają antylopy, żyrafy, nosorożce, z rynny wije się wąż, a zza rogu wychodzą bajkowe stwory.

Horodecki czerpał pomysły z baśni, mitów, legend i własnego życia. Był miłośnikiem afrykańskiego safari, pasjonował się fauną Afryki

i Azji Centralnej i tę miłość oddał w fasadzie najbardziej osobliwego domu ukraińskiej stolicy. W pamięci zapisał się jako Gaudi Kijowa, jednak dom nie okazał się dla niego szczęśliwy. Horodeckiego (miłośnika hazardu) przerosły koszty budowy, i budynek został mu odebrany. Legenda głosi, że rzucił wtedy klątwę na wszystkich jego mieszkańców. Klątwa Horodeckiego miała spełnić się już w 1917 r., kiedy lokatorzy potracili majątki, a rewolucyjna władza przerobiła egzotyczny dom na mieszkania komunalne. Ale i to nie trwało długo, zaraz po II wojnie światowej budynek zaadaptowano na partyjną klinikę. Dopiero w 2005 r. stał się on jedną z prezydenckich posiadłości. Niemniej, jeśli wierzyć kijowianom, córka Władysława Horodeckiego lubi od czasu do czasu pojawiać się w murach kamienicy taty.

Legenda głosi też, że na Czarnej Górze można spotkać córkę Wasyla Borodaja. Chodzi ponoć dookoła ponad stumetrowego pomnika Matki Ojczyzny, dla którego była pierwowzorem. Borodaj, projektując twarz monumentu, wzorował się bowiem na

urodzie córki. Obiekt od samego początku wzbudzał kontrowersje wśród mieszkańców miasta, którzy, jak głosi legenda, upatrywali w nim nieszczęścia. Po pierwsze dlatego, że postawiono go w miejscu tak naładowanym złą energią, że nie latają tu nawet ptaki. Po drugie dlatego, że stanowi część Muzeum Historii Ukrainy i złożone w nim eksponaty z czasów II wojny światowej wzmacniają tylko tę złą energię. A po trzecie, ze względów praktycznych – Związek Radziecki chylił się ku upadkowi, a koszty budowy przerastały już możliwości kraju.

Borodaj zakończył pracę nad monumentem w 1981 r. Wielkie otwarcie nastąpiło 9 maja, w Dzień Zwycięstwa, a ukraińską stolicę zaszczylił swoją obecnością nawet Leonid Breżniew. Krótco po tym umarła córka architekta, co, zdaniem kijowian, było tylko pierwszym etapem nieszczęść, które miały spaść na miasto. Kiedy ZSRR upadł, pojawił się pomysł usunięcia Matki Ojczyzny z przestrzeni miasta, koszty jednak znów okazały się zbyt wielkie. Mat' Rodina przetrwała więc nawet ustawę dekomunizacyjną z 2015 r. i nadal góruje nad miastem, w jednym ręku dzierżąc miecz, a w drugim tarczę z godłem Związku Sowieckiego. Niektórzy jednak mają nadzieję, że jej żywot zbliża się ku końcowi, stoi bowiem na niestabilnym gruncie.

MROCZNE CENTRUM

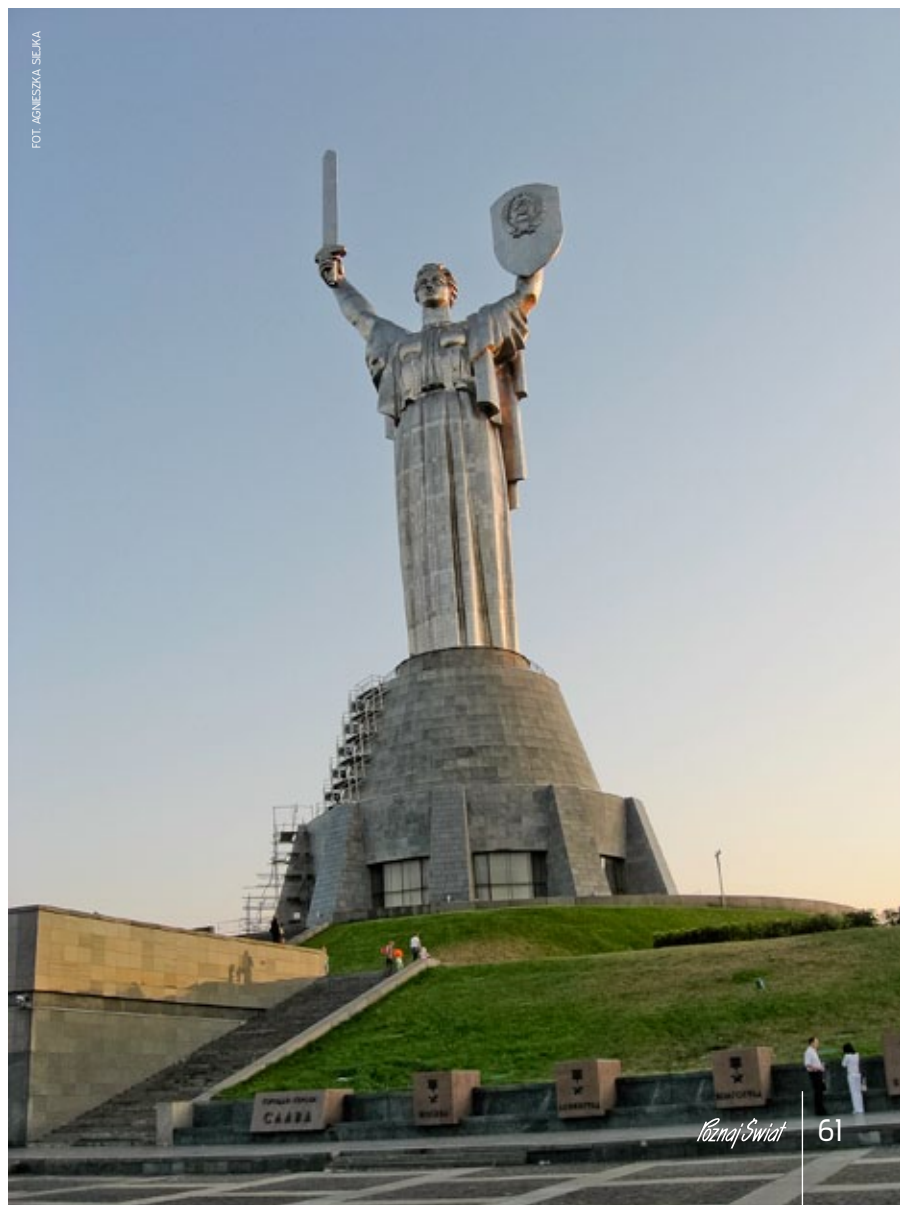
Serce Kijowa bije na pl. Niepodległości – Majdanie. To tutaj mają miejsce najważniejsze wydarzenia dla całej Ukrainy. Na Majdanie zaczęły się obie rewolucje, najpierw pomarańczowa, a potem godności. Przez plac przebiega jedna z najważniejszych ulic stolicy – Chreszczatyk. To na niej ruszył pierwszy tramwaj, tutaj zadzwonił pierwszy telefon i założono pierwszą kanalizację. Plac Niepodległości to najsłynniejsze i najczęściej odwiedzane miejsce, z pomnikiem legendarnych założycieli miasta oraz jego patrona – Michała Archanioła. Nad nim góruje także Brzegini, słowiańskie bóstwo, które symbolizuje niezależność Ukrainy i upamiętnia uzyskanie przez nią niepodległości. Brzeginia to bogini ogniska domowego i opiekunka ziemi. Ukraińscy historycy przypominają jednak, że na terenie

dzisiejszego Majdanu w czasach średniowiecza znajdowało się tzw. kozie błoto, które pochłonęło wiele istnień. Potem je osuszono i zrobiono tu plac.

Tutejsi parapsychologowie przekonują, że Majdan nie jest najszczęśliwszym miejscem dla spędzania wolnego czasu, spacerów czy randek. Przechodzi przezeń pas ciemnej energii, której za wszelką cenę należy unikać. Podobnie jest z widowiskową wieżą telewizyjną, nadającą niezwykłego uroku stolicy Ukrainy. Niedaleko wieży, przy ulicy Mielnikowa, był ogromny żydowski cmentarz, który zniszczono w latach 60. Zdaniem Igora Czudo, ukraińskiego bioenergoterapeuty, dziś wieża wydziela złą energię, powodując choroby lub, w lepszym przypadku, tylko złe samopoczucie. Niektórzy twierdzą też, że od czasu do czasu

DUŻY, LECZ NIESTABILNY

Sowiecki pomnik Matki Ojczyzny, posadowiony podobno w miejscu mocno naładowanym złą energią, wciąż jeszcze spogląda na wolny Kijów. Wraz z postumentem liczy 102 m wysokości, ale jego los jest niepewny, bo stoi na niestabilnym gruncie.



w jej okolicach pojawia się kobieta w kirze szukająca syna.

NIE RUSZAJCIE CMENTARZY...

Zdaniem bioenergoterapeuty cmentarze nie mają złego wpływu na ludzi, chyba że się je naruszy i zakłóci spokój zmarłym. A Kijów jest pełen starych cmentarzysk... Cmentarz Bajkowy, jedna z najstarszych kijowskich nekropoli, ma blisko 150 lat. Pochowano tutaj

w którym chowano wiedźmy. Cmentarzysko 42 lata temu zrównano z ziemią, na jego miejscu zbudowano park. Wszystko po to, by połączyć dwa brzegi Dniepru mostem. Most Północny, niegdyś zwany Moskiewskim, to jeden z najbardziej malowniczych, a zarazem niebezpiecznych obiektów w Kijowie. Podobno płynie po nim potok złej energii, który oddziałuje na kierowców korzystających z przeprawy. Zdaniem kijowian wypadki na moście Północnym mają dwie przyczyny: albo



WZIĄŁBYM JA BANDURU...

W stolicy można spotkać muzyków grających na tradycyjnych instrumentach. Ten artysta przygrywał na bandurze na terenie kompleksu klasztornego.

m.in. Łesię Ukrainkę, poetkę i krytyczkę literacką, której podobiznę znajdziemy na banknocie 200 hrywien. Sam cmentarz jest owiany wieloma tajemnicami, które w większości są związane z jego starymi grobowcami. Mówi się, że można tu spotkać nie tylko wampiry, niespokojne duchy, ale także być świadkiem paranormalnych zjawisk. Ponoć tajemne rytuały odprawiają tutaj wiedźmy. Gdzieś musiały się przenieść, skoro „przegnano” je z naddnieprzańskiego Czartoryja.

Na starych mapach Kijowa dzisiejszy park Drużby Narodów widnieje jako Czartoryj i jeśli wierzyć kijowianom, było to miejsce,

chwilowa utrata świadomości przez kierowcę, albo tajemniczy pies, który pojawia się nagle przed maską samochodu, a potem niespostrzeżenie rozplywa w powietrzu. Parapsychologowie wiążą tę zwiększoną wypadkowość ze zniszczonym cmentarzyskiem wiedźm.

Podobnie jest z Zielonką, czyli Zielonym Teatrem, który stoi w samym centrum stolicy. Wiele próbowano tutaj robić, by uciszyć echa pochowanych pod murem miasta samobójców i nieochrzczonych dzieci. Do dziś mówi się o Zielonce jako o miejscu przeklętym. Zbudowano tu monastyr, ale powstał tylko 100 lat i spłonął. Potem, za socjalizmu, po II wojnie



BRAMA Z POLSKĄ LEGENDĄ

Jeden z najważniejszych staroruskich zabytków Ukrainy, czyli Złota Brama. Jeśli wierzyć legendzie, to właśnie tutaj Bolesław Chrobry wyszczerbił swój królewski miecz. Przed wrotami odsłonięto w 1997 r. pomnik księcia Jarosława Mądrego.

światowej, kiedy śmierć była tak oczywista, że nikt już jej się nie bał, postawiono tu kino i urządzono park z karuzelami. Ale pracownicy nie mogli spokojnie zajmować się swoimi obowiązkami, bo odwiedzał ich wysoki człowiek w kapeluszu, twierdząc, że jest właścicielem tego miejsca. Krótko po jego wizytach ci, którzy mieli z nim styczność, zaczęli chorować.

Ani monastyr, ani kino, ani wesołe miasteczko nie przetrwały próby czasu. Dziś w otwartej przestrzeni teatru odbywają się koncerty. W 2018 r. ukraińscy architekci przedstawili projekt rekonstrukcji starych murów. Odnowiona Zielonka ma przyciągać gości

niczym magnes. Być może nowa wizja spodała się jego wieloletnim stałym mieszkańcom?

Kijów tonie w legendach i mitach. Nawet jego powstanie jest oparte na dwóch alternatywnych podaniach. Według pierwszego miasto powstało ze złożonych w jednym miejscu kijów, które ciemieźony lud wykorzystał do przegnania złego pana i całej jego świty. Drugie doczekało się nawet symbolicznego pomnika w samym sercu miasta, na placu Niepodległości. Głosi, że miasto założyła czwórka rodzeństwa z Polan Wschodnich: Choryw, Szczek, Łybedź i Kij. I nazwano je po prostu Kijowem na cześć najstarszego z braci. ○



Stanisława Budzisz-Cysewska

Dziennikarka, reporterka i tłumaczka. Absolwentka filologii polskiej i rosyjskiej, doktorantka Uniwersytetu Gdańskiego. Zawodowo i hobbyistycznie interesuje się Kaukazem. Zajmuje się zagadnieniami postkolonializmu, polityki współczesnej Rosji i jej wpływami na republiki byłego ZSRR.

PÓŁNOCNY, DAWNIEJ MOSKIEWSKI

Widok na malowniczy Dniepr oraz most Północny (dawniej Moskiewski) – jedno z najbardziej zagadkowych i niebezpiecznych miejsc Kijowa, gdzie z niewiadomych przyczyn dochodzi do wielu wypadków.





NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Piękny bliźniak

Helsingborg jest miastem portowym leżącym nad cieśniną Sund, jednym z najstarszych w Szwecji i ósmym co do wielkości w kraju. Zaledwie 4 km dalej, po drugiej stronie cieśniny, leży bliźniacze Helsingør, należące do Danii. Od powstania do XVII w. Helsingborg również znajdował się pod duńskim panowaniem, jednak zmieniło się to po wojnie szwedzko-duńskiej za sprawą traktatu z Roskilde. Oba miasta odgrywały niegdyś kluczową rolę w handlu morskim.

Helsingborg może poszczycić się przede wszystkim pięknym, dobrze zachowanym starym miastem z secesyjnym ratuszem. Ważnym zabytkiem jest wieża Kärnan, będąca pozostałością po zamku obronnym zbudowanym w XII w. Na uwagę zasługuje również najstarszy w mieście kościół Mariacki z XIV w., który został wzniesiony w stylu romańskim, a w XV w. przebudowano go na gotycki kościół ceglany. Kilka kilometrów za miastem leży zamek Sofiero – letnia rezydencja z XIX w., wzniesiona na polecenie ówczesnego władcy Szwecji Oskara II, otoczona pięknymi ogrodami. Ciekawe jest również duże muzeum Fredriksdal, znajdujące się na świeżym powietrzu i prezentujące historię regionu i jego mieszkańców. Warto odwiedzić lasy otaczające Helsingborg, by poobcować ze skandynawską naturą.



FOT. SHUTTER STOCK



56°02'N 12°41'E

Prom pływa ze Świnoujścia do Trelleborga, skąd samochodem do celu jest ok. 7 godzin.

Austria Oberndorf



47°56'N 12°56'E

Oberndorf leży 20 km na północ od Salzburga.

FOT. SALZBURGERLAND TOURISMUS

Ta urokliwa, niewielka miejscowość, oddalona 20 km od Salzburga to idealne miejsce na kameralne zimowe wakacje z rodziną. Z dala od zgiełku zatłoczonych kurortów łagodne stoki Oberndorfu zapewnią młodszemu i starszemu narciarzom niezapomniane doznania.

Oberndorf jest zwany również kolebką „Cichej nocy”. Po zimowych uciechach można wybrać się do muzeum znanej kolędy. To w tym miasteczku, w nieistniejącej już kaplicy, zaśpiewano ją po raz pierwszy, dopiero potem stała się najślawniejszą kolędą na świecie. W tym roku w Ziemi Salzburskiej jest hucznie obchodzony jubileusz 200 lat „Cichej nocy”. Region przygotował specjalne pakiety prowadzące śladami kolędy, a Oberndorf zajmuje bardzo ważne miejsce na tym szlaku.

Szlakiem kolędy

Aby zjeżdżać na nartach, nie trzeba jechać w góry. Nizinna Polska daje sporo możliwości, a nieduże lokalne ośrodki stają się coraz bardziej popularne. Choć trasy nie są tak długie jak w górach, to można na nich spędzić aktywnie czas. Wystarczy śnieżna zima lub odpowiednie warunki do sztucznego naśnieżania. Oto najciekawsze stoki poza górami wybrane przez Wirtualną Polskę.

Góra Kamińska

Niedaleko Bełchatowa znajduje się Góra Kamińska. To sztuczne wzniesienie powstało wskutek gromadzenia materiału nadkładowego z pobliskiej kopalni węgla brunatnego. Góra jest widoczna z daleka. Ma 386 m n.p.m. wysokości i wybija się ponad dość płaską okolicę. Na jej północno-wschodnich stokach wybudowano trasę narciarską o długości 760 m i różnicy wysokości 123 m. Jest ona sztucznie naśnieżana i oświetlona, dysponuje też wyciągiem krzesełkowym i dwoma talerzykowymi. To popularne miejsce wśród narciarzy z centralnej Polski.



51°12'N 19°25'E

Góra Kamińska leży 18 km od Bełchatowa. Na miejscu są bezpłatne parkingi na ponad 500 samochodów.



FOT. MAMP - SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK

Parchatka i Rąblów

Na zachód od Lublina, w krainie wzgórz i wąwozów lessowych, znajdują się dwa ośrodki narciarskie. W Parchatce narciarze mają do dyspozycji trzy trasy, o maksymalnej długości 420 m i przewyższeniu 50 m. Stoki są oświetlone i naśnieżane, mają też wyciągi talerzykowe. Podobnie jest w leżącym nieopodal Rąblowie – tamtejszy ośrodek dysponuje czterema trasami. To też idealna okolica do uprawiania narciarstwa biegowego. Po aktywnym dniu na nartach na turystów czekają zabytki i atrakcje leżącego nieopodal urokliwego Kazimierza Dolnego.



51°18'N 22°05'E

Rąblów leży na terenie Kazimierskiego Parku Krajobrazowego, ok. 40 km od Lublina.



Wieżyca

Mieszkańcy Trójmiasta też nie mają daleko na narty. Całkiem blisko znajduje się Wieżyca (329 m n.p.m.). Jest to najwyższe naturalne wzniesienie na polskim niżu. Z jej szczytu roztacza się wspaniały widok na pofałdowany morenowy krajobraz Kaszub. Powstał tutaj największy ośrodek narciarski na Pomorzu, oferujący dwa stoki narciarskie, o długościach 300 i 150 m. Jak większość tego typu obiektów w Polsce, Wieżyca oferuje narciarzom pełną infrastrukturę – wyciągi, sztuczne naśnieżanie, oświetlenie, wypożyczalnię sprzętu, a także bazę noclegowo-gastronomiczną.

 54°13'N 18°07'E

Dojazd z Trójmiasta: ok. 45 min. drogą nr 20.

Górka Szcześliwicka

Prawie w centrum Warszawy można przypinać narty i szusować po stoku. Kopiec Szcześliwicki, bo tak się oficjalnie nazywa, jest najwyższym wzniesieniem stolicy i ma całe 152 m n.p.m. Powstał w latach 50. z gruzów zniszczonego w trakcie wojny miasta. Znajduje się na nim łatwa trasa narciarska o powierzchni 9500 m² i długości stoku 227 m. Warunki do narciarstwa są tu dobre przez cały rok – gdy nie ma śniegu, można jeździć po specjalnej macie, a gdy temperatury spadną, stok jest sztucznie naśnieżany.

 52°12'N 20°57'E

Na stok kursują autobusy linii: 128, 157, 184, 186, 228, 414, 521 (pętla autobusowa Szcześliwice).



Piękna Góra

Północno-wschodnia Polska oferuje sporo możliwości dla narciarzy. To niesamowita kraina jezior i wzgórz morenowych, powstałych po ustąpieniu lodowca. Jednym z nich jest Piękna Góra, leżąca tuż obok Gołdapi. Wzgórze ma 272 m n.p.m. wysokości i wytyczono na nim łącznie 2 km tras narciarskich. Podobne, dobre warunki narciarskie znajdziemy na Jesionowej Górze, niedaleko Suwałk, w miejscowości Jeleniewo. W 2008 r. zbudowano tu ośrodek oferujący sześć tras zjazdowych. Oprócz narciarzy z tej części Polski przyjeżdża tu sporo gości z niedalekiej Litwy.

 54°17'N 22°17'E

Z Gołdapi do Pięknej Góry jest 4 km.



W RYTMIE SŁOŃCA

Adela Uchmańska



Koh Rong i Koh Rong Samloem nie są tak znane jak ich tajskie konkurentki. Jeśli jednak zdecydujemy się te wyspy odwiedzić, odkryjemy wspaniałe relaksujące miejsca, skąpane w słońcu i usypane z drobnego białego piasku.

Promy na wyspę odpływają z miejscowości Sihanoukville, do której można dotrzeć autokarem odjeżdżającym ze stolicy kraju, Phnom Penh. Koszt promu to mniej więcej 15 USD w obie strony. Jak to w Kambodży, można się targować i uzyskać jeszcze niższą cenę. Pływają też szybkie łodzie turystyczne oraz łodzie typu *słow*, których cena jest odpowiednio niższa.

PHOTOSHOP W REALU

Słodcyz kambodżańskich wysp smakuje idealnie orzeźwiającym shakiem z mango, który kupowaliśmy za każdym razem u tej samej, szeroko uśmiechniętej Khmerki. Zimny napój zdawał się wybawieniem, bo prawie przez

cały czas słońce piekło i malowało skórę na brązowo, a czasem i na czerwono. Grudzień rozpoczyna tu sezon, więc Koh Rong nie jest wtedy na wyłączność. Ale każdy z wypoczywających o tej porze wygląda, jakby nacisnął duży guzik z napisem „pauza”, i chodząc boso po białym, idealnie miękkim piaszczystym dywanie, niczym się nie przejmując.

Pomimo późnej pobudki bez problemu znajdowaliśmy za każdym razem wolne miej-

mango i ananasy oraz przełamujące żółtą kolorystykę smocze owoce.

Na wyspie czas leciał wolno, a wszelkie obowiązki odlatywały z lekkim wiatrem, który dawał ukojenie. Rozterki dotyczyły głównie tego, czy na obiad powinniśmy zjeść *amok*, *lok lak* czy też panierowaną pierś, oraz – na którą plażę pójdziemy najpierw.

Oprócz typowych plażowych atrakcji, jakimi są leżenie, opalanie, pływanie i czyta-



ŁODZIE Z KOH RONG

Tutejsze łodzie to malowniczy i najbardziej popularny środek transportu. Krążą między lądem a wyspą, ale i wokół niej samej. Bywają również miejscem rozrywki podczas całodziennych wycieczek.

sce na szerokiej plaży. Wchodziłam do przyjemnej, nieskazitelnie turkusowej wody, która gdzieś w oddali stykała się z równie soczystym błękitem nieba. Potem patrzyłam na rozpościerający się przede mną obraz i nie wierzyłam, że obrazki z Photoshopa istnieją w rzeczywistym świecie... Jeszcze bardziej soczysta była owocowa sałatka, którą kupowaliśmy na drugie śniadanie: miękkie banany, pełne soku

nie książki, na wyspach jest co robić. Można wybrać się na trekking w głąb dżungli, odbyć całodzienny rejs wokół wyspy, popływać kajakiem, zwiedzić podwodny świat, spróbować złowić coś na obiad, trochę poimprezować...

Oblicze Koh Rong zmienia się wraz z zapadnięciem zmroku. Z przybrzeżnych barów lecą wtedy zachodnie hity z najpopularniejszych top list, tak więc szum fal zderza się ze

śpiewem Rihanny. Backpackersi wnoszą co rusz kieliszki i rozmawiają przy zmrożonych kuflach wypełnionych kambodżańskim piwem Klang – produkowanym w Sihanoukville. Wzdłuż alejki sprzedawcy rozkładają stoiska z burgerami, kebabami i khmerskimi naleśnikami, które razem z importowaną nutellą robią furorę.

Z odrobiną kambodżańskiej Super Whisky oddaliliśmy się jednak od barów

rodziców. Wieczór minął na rozmowach i nauce khmerskiego.

UMOWA KHMERÓW Z MATKĄ NATURĄ

Podstawową atrakcją Koh Rong są całodniowe rejsy, podczas których można w pełni nacieszyć się urokami i możliwościami wyspy. Taki właśnie prezent mikołajkowy utargowaliśmy



FOT. ADELA UCHMANISKA



FOT. ADELA UCHMANISKA

i wybraliśmy jedną z przycumowanych turkusowych łodzi jako miejsce prywatnej imprezy i równocześnie schronienie przed deszczem, który studził gorącą od słońca ziemię. Po chwili dołączył do nas Navuth, który pracuje na wyspie jako stróż portowy oraz pomocnik kapitana. Navuth pochodzi z Sihanoukville, do którego przyjeżdża zazwyczaj na weekend, aby odwiedzić

do 10 USD na osobę i wraz z trójką hiszpańskich turystów naszą wycieczkę rozpoczęliśmy od snorkelingu. Podwodny świat kusił kolorami, jednak kapitan statku pilnował czasu, aby zdążyć z kolejną atrakcją. Konkurowanie w łowieniu ryb z Khmerami, którzy w magiczny sposób co chwilę wyjmowali z wody kolejne okazy, okazało się niemożliwe. Oni mieli ubaw, a my puste wędki. Gdyby nie kapitan i jego

HORYZONTALNIE

Na leżaku, ręczniku, a może hamaku? Niezależnie od miejsca i sposobu wylegiwania się na Koh Rong wszędzie towarzyszy nam plaża pełna białego piasku.

CENTYMETRY OD WODY

Baza noclegowa na Koh Rong z roku na rok się rozwija. Można wybierać między hostelami, bungalowami czy luksusowymi domkami, które od wody dzielą centymetry. Zawsze dobrym pomysłem jest wcześniejszy spacer po wyspie i zorientowanie się w możliwościach.

pomocnik, wieczorne *barbeque* ograniczyłyby się do ryżu i warzyw.

Przy głównym porcie można znaleźć tablice, które reklamują rejsy i wychwalają zachód słońca na Long Beach jako piękny spektakl. Khmerzy dogadali się chyba z Matką Naturą, bo oprócz wskakujących do ich sieci ryb kambodżański zachód słońca jest jednym z najpiękniejszych na świecie. Wielopoziomowe niebo rozdzierała ognista kula, która pozostawiała jasną smugę na spokojnej tafli oceanu.

Gdy wieczór pochłonęła głębia granatu, popłynęliśmy jeszcze na poszukiwanie w wodzie jasnych punktów. Przy wyłączonych światłach wskakiwaliśmy do morza

i nurkowaliśmy, by choć na chwilę dostrzec piękno świecącego planktonu.

**SZCZĘŚLIWI
CZASU NIE LICZĄ**

Khmerzy żyją rytmem słońca. Chowają się w domach, gdy staje się ciemno, i wstają z pierwszymi promieniami, które nie docierają jeszcze do łóżek odsypiających noc turystów. Z tego powodu, zamiast lekko wybudzającego szumu fal, codziennie wyrwał nas ze snu odgłos wiertła i uderzającego w ścianę młota.

Koh Rong się zmienia – obecnie nie ma tu wielkiej bazy hotelowej, choć bez problemu



można coś wybrać spośród istniejących guesthousów, bungalowów czy bardziej ekskluzywnych noclegów. Gdy jednak poszliśmy na drugą stronę wyspy, o poważniejszych inwestycjach w turystykę przypomniały nam budujące się apartamenty (otoczone niestety przez setki śmieci). Szeroka rozkopana droga wytyczająca szlak zapewne będzie prowadzić do lotniska, które ma wypełnić gęsto porośniętą przestrzeń pośrodku wyspy.

W tej wędrówce odeszliśmy jednak w końcu od tego, co będzie, i zdecydowaliśmy się cieszyć się tym, co jeszcze na wyspie pozostało. Początkowo otaczały nas delikatne wzniesienia, a potem lekki spacer przemienił

się w pełen potu i gorącego, ciężkiego powietrza trekking w środku gęsto porośniętej dżungli. Słońce nie potrafiło przebić się przez drzewa, a my szliśmy coraz wolniej. Dotarliśmy jednak do celu: Coconut Beach, gdzie w nagrodę za trudy marszu zafundowaliśmy sobie zimne piwo. (Na tutejsze plaże dostaniemy się pieszo lub łodziami, które dowożą chętnych także na sąsiednią wyspę. Na obu wyspach prawie nie ma dróg).

Przedostatni dzień spędziliśmy na Koh Rong Samloem, po rozbiciu obozu nieopodal Driftwood Hostel, jednego z nielicznych tutaj takich obiektów. Samloem jest wyspą bardziej „resortową”, o spokojniejszym klimacie; z ko-



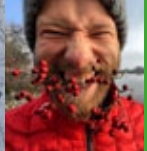
lei Koh Rong jest bardziej backpackerska. Ognisko powoli dogasało, a my liczyliśmy pojawiające się na niebie gwiazdy. Następujący po nocy dzień minął na odkrywaniu w sobie dziecka podczas pokonywania coraz większych fal oraz wtapianiu się w hamaki, których w Driftwoodzie nie brakuje. Ocean szumiał, a dusza medytowała, przygotowując się do dalszej drogi.

Mieliśmy spędzić tutaj trzy dni, zostaliśmy tydzień. Czas rozciągnął się do granic możliwości, a wskazówka w zegarze się zatrzymała. W końcu szczęśliwi czasu nie liczą. ◉



Adela Uchmańska

Namiętnie pisze, jeszcze namiętniej podróżuje, zapomina się w tańcu, zwoluje Kręgi Kobiet i fotografuje. Uwielbia góry, mikroświat i marzy o tym, aby pewnego dnia zostać pilotem paralotni. Natura daje jej wewnętrzny spokój, a inni ludzie – inspirację do działania.



DŁUGO W DRODZE
Lukasz Długowski

NA WILCZYM SZLAKU



Pierwszy raz spotkałem wilki w nocy.
W lesie, w Beskidzie Żywieckim.
Przez trzy godziny siedziałem obok
nich, w ogóle tego nieświadomy.

Wtrzy osoby schowaliśmy się w małym namiociku moro i wypatrywaliśmy jeleni podczas rykowska. Po godzinie wyszedł na polanę byk z dwoma łaniami, zaryczał kilka razy i pobiegł w las. – *Mieliście niesamowite szczęście* – powiedział Michał, który był naszym przewodnikiem i od 17 lat tropi zwierzęta w okolicznych lasach. – *Jelenie rzadko pokazuje się po południu, najłatwiej zobaczyć je o świcie. Teraz tylko wilka wam brakuje!* – zażartował.

Kiedy się ściemniło i nie mieliśmy już żadnych szans na jelenie, spakowaliśmy namiot i wróciliśmy do samochodu. Pobiegłem jeszcze pod drzewko na siku i wtedy je usłyszałem. Wróciłem szybko do auta i zapytałem: – *Michał, a to nie przypadkiem wilki?*

Nawoływały się matka z młodym. Ławo można było je odróżnić – szczenięce wycie od dorosłego. Przeszły mi ciarki po plecach. Noc była czarna jak smoła, otaczały nas dzikie lasy i góry, a o istnieniu innych ludzi przypominały tylko światełka wsi w dolinie. Zamiast chować się do samochodu, staliśmy zauroczeni, jakbyśmy słuchali najpiękniejszej arii operowej świata. – *Matka pewnie przyniosła jedzenie młodym i teraz wyjąc, próbuje je odnaleźć* – tłumaczył Michał. – *Wycie dochodzi dokładnie z tego miejsca, gdzie siedzieliśmy w czatowni. Samica pewnie czekała, aż odejdziemy, żeby wataha była bezpieczna.*

Drugi raz spotkałem wilki pod Białowieżą. Kręciliśmy program o mikrowyprawach z Leszką Lichotą z serialu „Wataha” i prof. Rafałem Kowalczykiem z PAN. Na noc rozwiesiłem namiot na obrzeżach Białowieży. Wisiałem pomiędzy drzewami, dwa metry nad ziemią. Właśnie zasypiałem, kiedy usłyszałem wycie wilków z jednej strony namiotu. Dobra muzyka na sen – pomyślałem.

I wtedy wilki zawyły z drugiej strony. Już byłem na serio przestraszony. Zaświeciłem czołówkę i sprawdziłem, czy zwierzęta nie są w pobliżu. Sprawdziłem też, czy namiot wisi odpowiednio wysoko i czy, w razie czego, wilki na pewno mnie nie osiągną. Bałem się. Chociaż wiedziałem, że wilki nie atakują ludzi, to bałem się jak dziecko.

Od wielu miesięcy Lasy Państwowe i myśliwi zastraszają ludzi. Co rusz

w mediach pojawiają się sensacyjne artykuły: „Wataha wilków grasuje na Podkarpaciu! Zabijają zwierzęta domowe, owce i krowy! Jeszcze chwila i dobiørą się do nas!” Taki przekaz płynie z tych sensacyjnych informacji, w których lubuje się lobby myśliwskie. Lasy Państwowe biorą w tym udział, prowadząc dezinformację np. na temat liczebności wilków. Ich szacunki mówią o dwóch, a nawet trzech tysiącach wilków w Polsce! Ale żadne wiarygodne badania naukowe tego nie potwierdzają. Co myślą zwykli ludzie, którzy o wilkach wiedzą tyle, co przeczytali w „Czerwonym Kapturku”? Że wilków jest za dużo, zagrażają nam, trzeba je odstrzelić – spełniając marzenie myśliwych i Lasów Państwowych (to często ci sami ludzie). Jaka jest prawda? Przede wszystkim zwierząt stadnych nie liczy się na pojedyncze osobniki. Więc już w punkcie wyjścia szacunki LP są błędne. Liczy się je na rodziny. I takich wilczych rodzin, czyli watah, mamy w Polsce ok. 270. Czy to za dużo? Nie, mamy jeszcze miejsce na co najmniej kilkadziesiąt dodatkowych. Jedna rodzina liczy średnio 4–6 osobników. Ale to się bardzo dynamicznie zmienia, bo młode często nie przeżywają pierwszych kilku miesięcy, a kiedy wydorosłają i ruszają w poszukiwaniu własnego terytorium, śmiertelność jeszcze wzrasta. Kiedy idą przez kraj, na drogach dosłownie dochodzi do masakry. Wilki bardzo często zostają potrącone i zabite. Nierzadko zdarza się też, że pomimo zakazu polują na nie myśliwi. Ile wilków przeżywa? W górach – 0,7 wilka, na nizinach – 1,2. Średnio wilk żyje sześć lat, w niewoli – do 12.

Czy wilki są dla nas niebezpieczne? W Polsce nie było ani jednego przypadku ataku zdrowego wilka na człowieka od zakończenia II wojny światowej. Przypadki, o których mogliście słyszeć, to wilki, które zostały częściowo oswojone, a potem wypuszczone na wolność; wilki, które fotografowie nęca, żeby zrobić im ładne zdjęcia; hybrydy (mieszance wilka i psa) albo osobniki chore, np. na wściekliznę. Ile co roku mamy pogryzień przez psy? Setki, tysiące? Ale czy ktoś normalny nawołuje do odstrzału psów? W takim razie dlaczego chcemy to robić wilkom?

Od jesieni do wiosny zabieram ludzi na tropienie wilków w Beskidzie Żywieckim. Przyjeżdżają kobiety, mężczyźni i dzieci.

Niektórzy boją się tych drapieżników, inni są nimi zafascynowani, upatrują w nich źródła tajemniczej, metafizycznej mocy, jeszcze inni koniecznie chcą je zobaczyć. Chętnych zabieramy tak blisko, jak się da, ale jednocześnie z poszanowaniem zwierząt. Nie przeszkadzamy im, nie nęcimy, nie chodzimy tam, gdzie mogą wychowywać młode. Uczymy ludzi odróżniać tropy wilcze od psich, opowiadamy o tym, co można wyczytać z odchodów (kupy interesują ludzi najbardziej), zabieramy w miejsca, w których wilki bywają, nierzadko kilkanaście minut przed nami, ale przede wszystkim – uczymy. Odkłamyjemy lata bajdurzeń, które nie mają nic wspólnego z prawdą. Odkłamyjemy „Czerwonego Kapturka”, głupie hollywoodzkie filmy w stylu „The Grey” z Liamem Neesonem i myśliwską propagandę. A potem wyprowadzamy ludzi w nocy, bez latarek na szczyt wzgórza. Stajemy w ciszy, w odosobnieniu, wsłuchujemy się w odgłosy dochodzące z lasu, a potem jeden z nas wyje. Dźwięk niesie się po dolinach. Chociaż słyszałem go już wielokrotnie, za każdym razem przeszywa mnie dreszcz. Wiem, że jestem tak blisko dzikości, jak to możliwe. Że niedaleko nas są wilki, słyszą nas, a może i obserwują. Czasami wiemy to na pewno, bo odpowiadają wyciem. Czasami milczą, ale kiedy następnego dnia sprawdzamy to samo miejsce, cały teren jest obskany, trafiamy na tropy i kupy. To jest jasne ostrzeżenie dla intruza – wilka, który chciałby przejść terytorium: „To jest nasze miejsce, nawet nie próbuj!”

Niezależnie, z jakim nastawieniem ludzie przyjeżdżali, wyjeżdżają zachwyceni. Zafascynowani wilkami. Ich pierwotnością, dzikością i mistycyzmem. Tym, że weszli w ich świat, że ich wpuścili. Ludzie wyjeżdżają, wiedząc, że to nie wilki dla nas, ale my dla nich jesteśmy zagrożeniem. Że nie musimy się ich bać, a możemy je podpatrywać i od nich się uczyć. Że spokojnie możemy żyć obok siebie. ◉

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy.

Piotr Geise

AGROTURYSTYKA WULKANICZNA



Nie pamiętam, czy na lekcjach geografii Polski wspominało się o liczących miliony lat skałach, które są pozostałościami po wulkanach. Wiem natomiast, że w Górach Kaczawskich i na Pogórzu Kaczawskim, które zaliczają się do Sudetów, można zobaczyć pozostałości wypiętrzeń wulkanicznych. W tym celu warto zajrzeć do Dobkowa, wsi ciekawej i niebanalnej. Wulkany ostatni raz „zagotowały się” tutaj, bagatela, 20 mln lat temu, a pozostałości po nich są wciąż imponujące.

Wspomnieniem po wulkanie jest choćby, widoczna z autostrady A4, Ostrzyca (501 m n.p.m.), będąca wypełnieniem dawnego wulkanicznego komina (kanału łączącego komorę wulkaniczną z powierzchnią ziemi).

FUDŹI I SKALNE ORGANY

Ostrzyca ze względu na regularny kształt bywa nazywana śląską Fudzi. Jest jednym z tzw. neków wulkanicznych, czyli pozostałością skał, które kiedyś wypełniały komin wulkaniczny i oparły się erozji. Na to wzniesienie najlepiej wybrać się w maju, gdy u jego podnóża rozciągają się łąny kwitnącego rzepaku.





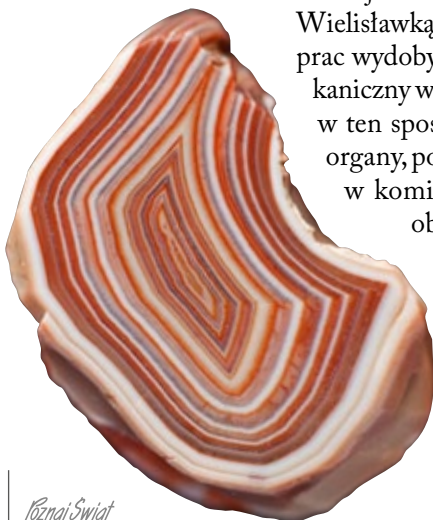
FOT. VILLAGRETA.PL

DOBKÓW W KRATĘ

Ta urokliwa wieś, będąca idealnym miejscem do niespiesznego wypoczynku, zachowała jeszcze swoją starą zabudowę, w tym tradycyjne budownictwo szachulcowe i przystępowe.

AGAT STĄD

Wyprawa w ten region może zaowocować przywiezieniem biżuterii z agatem – półszlachetnym minerałem, będącym odmianą chalcedonu, który tu występuje i jest wydobywany.



FOT. VILLAGRETA.PL

Góry i Pogórze Kaczawskie nie są imponujące, jednak mają swoją magię. To w większości geologiczne „wspomnienia” po wygasłych wulkanach, które powstawały w różnych okresach aktywności sejsmologicznej, czyli zarówno 500, 250, jak i 15 mln lat temu. Do dziś ten teren jest bogaty w neki, które tworzą ciekawe wzniesienia, z reguły porośnięte lasami. W części z nich funkcjonują kamieniołomy, w których wydobywa się bazalt i porfiry, ale też agaty i kwarc różowy. Na jednym z takich bazaltowych wzgórz (389 m n.p.m.) znajduje się zamek Grodziec z XII w., przebudowany w XVI w.

Kraina Wygasłych Wulkanów to nie tylko Ostrzyca, ale też inne ciekawe ślady działalności wulkanicznej, jak chociażby Organy Wielisławskie i Małe Organy Myśluborskie. Pierwsze z nich znajdują się w okolicy Sędziszowej, w miejscu dawnego kamieniołomu pod górą Wielisławką. W wyniku odstrzeliwań podczas prac wydobywczych odsłonił się komin wulkaniczny wypełniony zastygłą lawą. Powstała w ten sposób formacja skalna przypomina organy, ponieważ słupy krzepnącej magmy w kominie wulkanu zmniejszały swoją objętość i pękały. Drugie „organy” znajdują się niedaleko wsi Myślubórz i wzgórza Rataj, gdzie w wyrobisku po dawnym kamieniołomie jedna ze ścian nosi nazwę Małych Organów Myśluborskich. To fragment



FOT. VILLAGRETA.PL

bazaltowego neku, na którym widać wyraźnie zaznaczone słupy zastygającej magmy.

Na Pogórzu Kaczawskim prowadzone są również ważne prace archeologiczne. Takie jak chociażby badania wczesnośredniowiecznego grodziska w Nowym Kościele (k. Proboszczowa), które znajduje się na wzgórzu o wysokości niespełna 300 m n.p.m. Podczas wykopalisk w latach 2014–2015 odkryto tam ceramikę z IX/X w.

BÓG STRZEGL, PGR NIE POWSTAŁ

Pogórze Kaczawskie to region wchodzący w skład Pogórza Zachodniosudeckiego,



UCIECZKA OD SZKOŁY

Góry i Pogórze Kaczawskie od lat przyciągają wycieczki szkolne oraz indywidualnych turystów. Przeważnie są to pobyty kilkudniowe, więc nie ma tu tłoku czy hałasu. Na zdjęciu widok na Sudecką Zagrodę Edukacyjną w Dobkowie oraz kościół parafialny św. Idziego z końca XIV w.

które jest zaliczane do Sudetów Zachodnich. Od południa graniczy z Górami Kaczawskimi, a od zachodu z Pogórzem Izerskim.

Dobków to długa wieś łańcuchowa, ciągnąca się około 3,5 km wzdłuż rzeki Bukownicy. To typ wsi sięgającej średniowiecza, położonej z reguły na zalesionych terenach górskich, gdzie domostwa są ulokowane po obu stronach drogi, która wiję się w dolinie rzeki. Tak też jest w Dobkowie, rozlokowanym w Rowie Świerzawy, będącej jednostką geologiczną o charakterze... tektonicznym. Nazwa wsi do końca XIX w. brzmiała Klein Helmsdorf, co było echem odwołania się do osadników z Frankonii i jej pierwszego sołtysa Helmricha. Rozwój gospodarczy sprawił, że na przełomie





FOT. VILLAGRETA.PL

SZLAKIEM PRZYDROŻNYCH KAPLICZEK

Dobków może się pochwalić odrestaurowaniem przydrożnych kapliczek, które po oznakowaniu utworzyły szlak turystyczny, będący dobrym sposobem na pokazanie lokalnej kultury i historii.

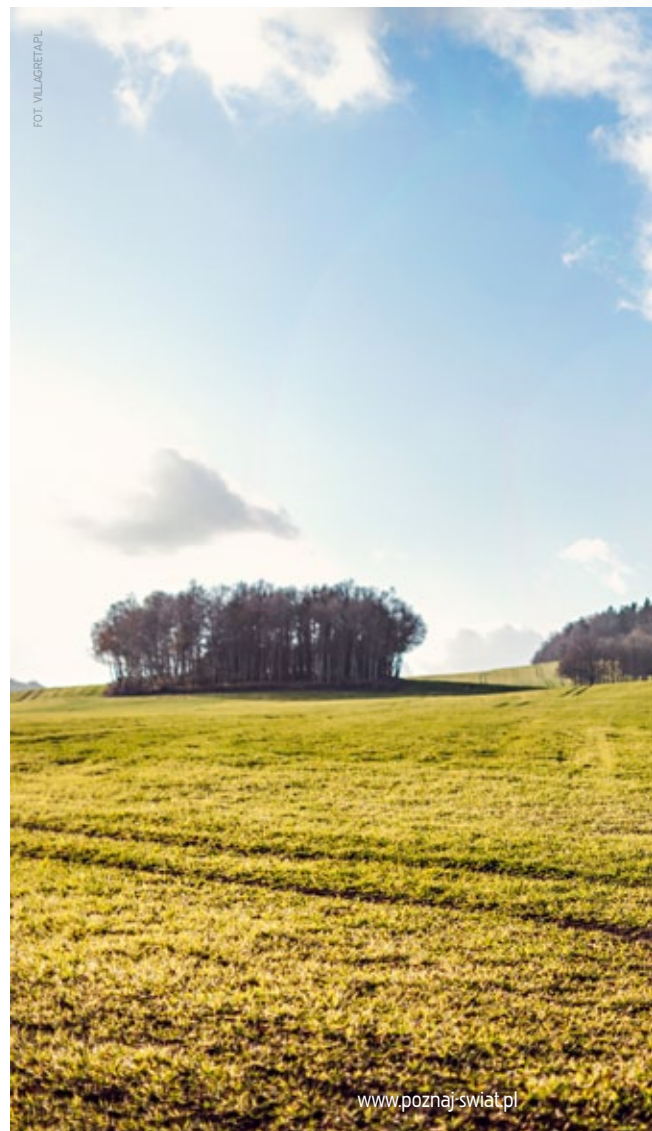
XIX i XX w. pojawiły się tu stosunkowo duże gospodarstwa rolne. W budynku jednego z nich (z końca XIX w.) działa obecnie Sudecka Zagroda Edukacyjna, która jest częścią ekomuzeum. Odbywają się w niej co roku m.in. Kaczawskie Warsztaty Artystyczne.

Dobków do początków XIX w. należał do opactwa lubiąskiego. To sprawiło, że wieś była katolicką enklawą. Nie powstał tam ani folwark, ani pałac, które można byłoby po wojnie przekształcić w PGR i doprowadzić później do ruiny. Lokalnego krajobrazu nie zaburzyły więc również bloki pracownicze budowane wokół takich gospodarstw. Dlatego nie jest przesadą stwierdzenie, że w Dobkowie czas się zatrzymał, i tym razem jest to określenie pozytywne. W 2011 r. osada została nawet wyróżniona mianem Najpiękniejszej Wsi Dolnośląskiej.

Jubileusz 800-lecia Dobków świętował w 2003 r., a upływ czasu wcale mu nie zaszkodził. To miejsce ma duszę i charakter, a że nie leży na końcu świata, można tu łatwo i szybko dotrzeć. Od Wrocławia dzieli je godzina drogi, a z Jeleniej Góry, Jawora czy Złotoryi – 20 minut. Z kolei z Legnicy, Szklarskiej Poręby lub Karpacza dotrzemy do Dobkowa w 40 minut.

NA WSI NAJLEPIEJ

Wieś nie miała nigdy tradycji turystycznych czy uzdrowiskowych, ale zmieniło się to w ostatnich 15 latach. Głównymi, choć oczywiście nie jedynymi sprawcami tej zmiany okazali się Ewelina i Krzysztof Rozpędowscy. Trochę przypadek, trochę zrzędzenie losu, połączone z umiejętnością aktywizacji lokalnej społeczności, zaowocowały wspomnianym



FOT. VILLAGRETA.PL

wyróżnieniem na najciekawszą wieś na Dolnym Śląsku – wieś, w której można delektować się widokami na Góry i Pogórze Kaczawskie, wieczorami zaś podpatrywać np. znajdującą się pod ochroną... popielicę, która zasiedla okoliczne buczyny.

Ewelina i Krzysztof zjawili się w Dobkowie w 2003 r. On wrócił do siebie, bo stąd wywodzi się jego rodzina – dom i gospodarstwo jest w niej od prawie 150 lat. To na pamiątkę imienia jego babci pensjonat agroturystyczny został nazwany Villa Greta. Pokoje dla gości zachowały po modernizacji swój wiejski i zabytkowy charakter. Gospodarze przywiązują bowiem wielką wagę do detali, takich jak klamki na dzwignię i zamki z dużym metalowym kluczem. Obora, która obecnie pełni funkcję przytulnej restauracji, ma oryginalne ceglane sklepienia łukowe, wsparte na

granitowych słupach. Na jej kamiennych ścianach wiszą portrety rodzinne oraz obrazy, które pamiętają jeszcze czasy Klein Helmsdorf.

U Rozpędowskich dominuje kuchnia w wersji *slow*, oparta na produktach nabywanych u okolicznych producentów i hodowców, o czym skrzętnie informuje karta dań. Gospodarze umiejętnie wyszukują na lokalnym rynku producentów białego sera lub pieczywa, po które są w stanie jeździć nawet 20 czy 30 km. Dania obiadowe zmieniają się zależnie od pory roku, przy czym nie tylko ciepłe potrawy są warte docenienia. Już „zwykłe” śniadanie sprawia, że gość naprawdę czuje się jak na wsi u dziadków: dwa rodzaje naturalnie przyrządzanego jogurtu, wysmienity biały ser, wiejski chleb, wędzona ryba oraz kilka gatunków domowych wędlin i słodkich dżemów lub konfitur (śliwkowe są złamane nutą chili).

BYŁ SOBIE WULKAN

Ostrzyca, najwyższe wzniesienie Gór Kaczawskich. Ze względu na swoją prehistorię oraz regularny kształt powulkanicznego komina jest nazywana Śląską Fudzi.



PRZY TACIE NA WARSZTACIE

We wsi i okolicach nie ma czasu na nudę. Nie tylko wędrówki po górach są tu atrakcją, ale także na przykład warsztaty edukacyjne, na które przychodzą rodzice ze swoimi pociechami.

Dlatego Villa Greta w 2016 r. została doceniona jedną czapką kucharską przewodnika Gault & Millau. Została też w 2018 r. wyróżniona w konkursie „Na wsi najlepiej” – kategoria „Wypoczynek na wsi”.

NAUKA W ZAGRODZIE

Villa Greta to nie tylko klimatyczna restauracja w dawnej oborze, łączącej się z sienią domu, w którym pokoje dla gości są urządzone w ascetycznym, rustykalnym stylu, a wysmakowana całość zachęca do pobytu w stylu *slow*. Ewelina Rozpędowska, dr nauk o ziemi, jest prezesem Stowarzyszenia Kaczawskiego i dzięki jej zaangażowaniu powstała tu Sudecka Zagroda Edukacyjna. Za sprawą prężnie działającego porozumienia zwiększyła się we wsi liczba bartników, powstała aleja drzew miododajnych oraz szlak kapliczek. Ta nietypowa oferta dla agroturystów to Ekomuzeum Rzemiosła, rozrzucone po domach każdego z uczestników tej inicjatywy. Ekomuzeum tworzą bowiem: pracownie i galerie ceramiczne, Sudecka Zagroda Edukacyjna, a także bartnicy i ich pasieki. Rozpędowscy zmotywowali też osoby spoza Dobkowa, i np. dzieci wraz ze swoimi rodzicami mogą tu brać udział w warsztatach bibułkarskich lub robieniu wypieków czy dekoracji pierników. To wszystko

sprawia, że zmieniająca się zależnie od pór roku oferta, jaka czeka tutaj na gości, jest naprawdę bogata.

Zagroda ma swoją siedzibę w budynku podzielonym na kilka sal i spełniającym funkcje





FOT. VILLAGRETA.PL

edukacyjne. Nie mogło tam oczywiście zabraknąć wiedzy o wulkanach – to miejsce nawiązuje w bezpośredni sposób do prehistorii Pogórza Kaczawskiego. Są tu np. warsztaty związane z poszukiwaniem i obrabianiem

minerałów i kamieni półszlachetnych (agatów, ametystów). Jedna z sal nosi nawet nazwę Sali Wulkanów, gdzie odwiedzający dowiedzą się o ich różnych typach, a na makietach mogą zajrzeć do wnętrza każdego z nich. Jest tu nawet gejzer w miniaturze. W Zagrodzie, obok gier edukacyjnych, znajduje się również największa w Polsce platforma trzęsienia ziemi.

Z kolei w Sali Ziemi napotkamy interaktywną makietę rzeki oraz kolekcję skał i minerałów, które można spotkać w tym regionie. Dużą atrakcją dla dzieci jest też niewątpliwie instalacja do płukania złota.

Okazuje się więc, że niekoniecznie trzeba wybierać się na Islandię, aby zobaczyć wulkany, a w każdym razie ślady po nich sprzed milionów lat. Wciąż mało kto zdaje sobie sprawę, że podnóże Gór Kaczawskich w naszych Sudetach to ich dawna ojczyzna.

A determinacja tutejszych mieszkańców i ich liderów udowadnia, jak z wiedzy i legendy o minionych już zjawiskach przyrody można uczynić jeden z motorów ożywienia rodzinnej wsi. ○



Piotr Geise

Socjolog, dziennikarz, w latach 1993–2006 współpracował w Berlinie z publicznymi radiostacjami RBB i Deutsche Welle. W latach 2003–2013 wykładowca na uczelniach w Bydgoszczy, Wrocławiu i Poznaniu. Obecnie konsultant, doradca, trener.



FOT. VILLAGRETA.PL



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

BIEBRZY SZUM

Zimą ukryta pod lodem Biebrza płynie cicho. Kiedy jednak lód nie do końca skuje nurt rzeki, widać, jak żwawo wije się ona przez Podlasie. Jeśli chcemy ją poznać w zimowej odstonie, trzeba przygotować się na wiele ewentualności. Kluczowa jest pogoda. Najlepiej, kiedy fala mrozów poprzedzona śnieżycami zawiśnie wraz z wyżową pogodą nad biebrzańską krainą. Ale kiedy zabraknie śniegu i mrozu, również jest ciekawie, tylko dużo trudniej dostrzec niezwykle świat dzikich zwierząt. Na białym puchu widać je wyraźniej.

W zimowej scenerii wyjeżdżam nad Biebrzę co roku. Na przestrzeni lat zaobserwowałem, jak bardzo zmienia się klimat, a pięknej, mroźnej zimy nie widziałem już od prawie 5 lat. Podróż rozpoczynam u ujścia Biebrzy do Narwi. Obiad w barze U Dany w Wiźnie to obowiązkowy element w mojej podróży. Dobra, domowa kuchnia i swojska atmosfera. Często usłyszy się tutaj ze stolików obok piękną podlaską mowę z charakterystycznym zaśpiewem. Ta wizyta to również

chwila odpoczynku w ciepłej, bo zaraz po obiedzie wychodzę nad rzekę i ruszam na północ. Po drodze w kierunku ujścia Biebrzy do Narwi trzeba zachowywać się bardzo cicho, a gdy mocno wyteży się wzrok, można dojrzeć na lodzie wydry. Przesuwają się jak szalone we wszystkich kierunkach. Zdarza się, że mróz jest tak duży, że wychodzą z wody całe w lodowych pancerzach. Na sam widok robi się zimno. Dojrzenie ich na śniegu wymaga odrobiny szczęścia, ale nawet w przypadku niepowodzenia można zaliczyć przyjemny spacer wzdłuż rzeki. Po drugiej

stronie drogi ciągnie się zwyczajna wioska, gdzie życie o tej porze roku chyba zapadło w zimowy sen.

Kolejnym miejscem godnym uwagi jest droga biegnąca z Wizny w kierunku Radziłowa. Pierwszym przystankiem na niej jest Sieburczyn. Uwielbiam go ze względu na wysoką skarpe, z której schodzi się do rzeki. Potężne stare drzewa niestety z roku na rok znikają i krajobraz zmienia się tam na zawsze.

Jadę dalej i mijam niewielkie podlaskie wsie. Tuż przed Burzynem, po prawej stronie, widać piękny rząd wierzb, które



FOT. MIŁOJ GOSPODAREK



FOT. MIŁOJ GOSPODAREK

o tej porze roku powinny być otoczone lodem lub wodą. Kawalek dalej znajduje się punkt widokowy, z którego roztacza się jedna z piękniejszych panoram w tej okolicy. Największe wrażenie robi oczywiście wiosną, kiedy Biebrza szeroko rozlewa się na pobliskie bagna w Biebrzańskim Parku Narodowym. Tutaj można zawrócić, bo niestety Brzostowo w ostatnim czasie straciło na uroku. Zniknął punkt widokowy i wycięto stare wierzby. Jadę tam tylko z sentymentu i dla wspomnień, bo to właśnie w tym miejscu od czerwca do października przez Biebrzę przepływają stada krów.

Wracam tą samą drogą do Wizny i skręcam w lewo w kierunku Białegostoku. Udaję się dokładnie na drugą stronę Biebrzy. Aby dotrzeć tam samochodem, trzeba pokonać prawie 30 km. Najpierw dojeżdżam do Strękowej Góry, gdzie znajduje się most na Narwi. Po drodze mijam ciekawy punkt widokowy na Górze Strękowej (nie mylić z nazwą miejscowości). Na wysokiej skarpie znajdują się ruiny schronu dowodzenia kpt. Raginisa. Bitwa, która rozegrała się na tym terenie od 7 do 10 września 1939 r., jest określana mianem polskich Termopili. Ze wzgórza rozciąga się niezwykle widok na Narew. W oddali widać wysoki brzeg nad Biebrzą, którym prowadzi droga do Brzostowa. Wczesną wiosną te pola i łąki znikają pod wodą. Dojazd na górę zimą może być utrudniony, ale wejście zajmie parę minut. Naprawdę warto spojrzeć z wysoka na tę przepiękną krainę.

Wracam do Strękowej Góry i mostu na Narwi, który umożliwia dotarcie w niezwykle ciekawe i odludne miejsca. Po kilku kilometrach skręcam w prawo. Prosto biegnie Carska Droga, na którą

jeszcze wrócę, ale najpierw udaję się na „koniec świata”. Dokładnie do Giełczyna. Tam zazwyczaj nocuję u Tamary i Piotra Dombrowskich w domu Pod Klonem. Zimą dzień jest krótki, więc nie tracąc czasu, udaję się do małej osady o nazwie Kołodziej. W zależności od warunków zimowych można tutaj pospacerować po przestronnych łąkach, a przy odrobinie szczęścia – dojść do samej Biebrzy. Inną możliwością jest spacer po wale przeciwpowodziowym, który chroni Giełczyn przed zalaniem. Zawsze korzystam z nieocenionej wiedzy Piotra, który bezbłędnie zna teren i panujące na nim aktualnie warunki. Nie ma drugiego tak spokojnego zakamarka na Podlasiu. Kiedy zapada noc, na niebie widać miliardy gwiazd. Brak tutaj zakłócających niebo źródeł światła.

Po tym rozmarzeniu na końcu świata ruszam dalej wzdłuż Biebrzy, która na przestrzeni prawie 100 km pokazuje mi swoje zupełnie inne oblicza. Początkowo gubię ją daleko za bagnami, jadąc Carską Drogą. W podróż wyruszam zazwyczaj z samego rana z nadzieją, że uda mi się dostrzec stojącego w lesie przy drodze łosia. Trzeba jechać naprawdę „łóstronie”, bo te potężne zwierzęta potrafią zniecalka wyjść na drogę. Na śliskiej nawierzchni nie jest trudno o wypadek. Traktuję ten przejazd jak podlaskie safari.

Po prawie 40 km wyjeżdżam z lasu i docieram do Goniądza. Uwielbiam klimat takich miasteczek. Zająłem tam pewnej grudniowej niedzieli i miałem wrażenie, że to miejsce nie budzi się ze snu.

Jadę dalej, a rzeka cały czas wije się po lewej stronie. Droga prowadzi prosto przez niezwykle malownicze pola. Docieram do Dolistowa Starego i tutaj zaczynają się schody. Odradzam przejazd

drogą do Jasionowa i dalej w kierunku na Białobrzegi. Tuż za drewnianym mostem na Biebrzy zaczyna się prawie 8 km szutrowej drogi, która nawet latem po deszczu jest trudna do pokonania. Często drogowskazy wyraźnie pokazują, że jest zamknięta, ale niekiedy ich brak może kusić. Mnie skusił raz i wtedy zrozumiałem, że przystosowanie do jazdy terenowej samochodu mierzy się odległością, z jakiej trzeba iść pieszo po pomoc traktora. Zimą podziwiam więc Biebrzę w okolicach drewnianego mostu, a podróż kontynuuję drogą w kierunku Suchowoli. Tam wjeżdżam na drogę nr 8 na Augustów i jadę nią do Sztabina, ponownie przecinając Biebrzę. Skręcam na Lipski i po 22 km docieram na kolejny przepiękny koniec świata. Most w okolicach Chorużowców to ostatnie miejsce, gdzie udaje mi się dotrzeć samochodem. Źródła Biebrzy znajdują się nieopodal stąd, ale dotarcie tam zimą jest bardzo skomplikowane.

Zimą nad Biebrzą można przeżyć niezwykle przygodę. Trzeba założyć, że podróż zajmie dużo więcej czasu ze względu na śliskie i słabo odśnieżone drogi. Zimowe Podlasie może zniechęcać brakiem infrastruktury, ale zachęca spokojem. Usłyszymy własne myśli, a także szum Biebrzy, jeśli ta akurat nie zniknęła pod lodem. ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

MIESZKAŁEM W CZARNYM STRUMIENIU

Albert Karch



Wracałem z zakupów do domu w centrum miasta Ribeirão Preto. Po prawej stronie grupa hipisów rozpała ognisko w starej latarni, roznosząc przy tym zapach marihuany. Na skrzyżowaniu stał jeden z nowszych mercedesów oraz furmanka z koniem i woźnicą. Naprzeciwko stacjonował oddział policjantów, których od komandosów odróżniały wyłącznie emblematy. Najbardziej zdziwiło mnie to, że wcale mnie to nie zdziwiło.

Kiedy przyleciałem tu pięć lat wcześniej, już pierwszego dnia dziwiło mnie wszystko. Dziwił mnie mój zgubiony bagaż oraz fakt, że po okazaniu biletu połowie lotniska wpuszczono mnie do złego samolotu. Dziwiło mnie, że pomimo obaw wcale nie doleciałem do Australii, co z uwagi na otaczający mnie czerwony grunt i czterdzieści godzin podróży było całkiem możliwe. Ale z tego akurat się ucieszyłem. Pomimo tego byłem odrobinę zestresowany, ponieważ przyleciałem do Brazylii, aby



FOT. SHUTTERSTOCK



W STYLU ROZMAITYM

Może się wydawać, że brazylijskie prawo budowlane zabrania pomalowania tym samym kolorem dwóch budynków na terenie jednego województwa. Można się tu też pogubić w stylach architektonicznych.

zostać tu na dłużej, a po portugalsku znałem dwa zdania. Potem okazało się, że jedno było z błędem, a drugiego w ogóle nie rozumieli. Od samego początku miałem niewzruszoną i całkowitą pewność, że w końcu się zgubię. Mogę być z siebie dumny, ponieważ udało mi się to już pierwszego dnia.

ZAGUBIONY W ARCHITEKTURZE

Zgubiłem się w kolorach. Kolorowe było wszystko – chodniki, ubrania i twarze. A dzięki ceglastej glebie nawet kurzyło się ładnie.

Oprócz zagubienia liryczno-metaforycznego czekało mnie to prozaiczne i przeznaczone dla osób z obcym paszportem. A to dlatego, że w latynoamerykańskiej architekturze można się zgubić, mając za plecami drzwi własnego domu.

Już tłumaczę dlaczego. W większości europejskich miast można się zgubić z powodu monotonii dystygowanej zabudowy, lubującej się w podobnych fasadach i beżowych nutach. Jako że w Brazylii wszystko jest na odwrót, tutaj można się zgubić z powodu różnorodności. Niewielki, żółty domek przy czerwonym chodniku stoi



obok 12-piętrowego apartamentowca, rzucającego cień na pałacyk, którego właściciel nie wiedział, do czego służą kolumny jońskie, ale bardzo chciał mieć tuzin. Wydaje mi się, że brazylijskie prawo budowlane zabrania pomalowania dwóch budynków na terenie jednego województwa tym samym kolorem. Natomiast firmy budowlane, wybierając styl architektoniczny nowego osiedla, nie mogą się zdecydować, i w końcu wybierają wszystkie. Wymieszanie baroku i klasycyzmu z nutką konstruktywistyczno-funkcjonalistyczną, cokolwiek to nie znaczy, sprawi, że europejskie oko zacznie łzawić. W Brazylii wywoła

najwyżej ziewnięcie i potrzebę przemalowania na pomarańczowo. Właśnie dlatego ciągle się gubię – wszystko jest takie inne, że wydaje się takie samo.

Jeżeli masz ochotę zobaczyć, jak budowano domy pięćdziesiąt lat temu, koniecznie idź do jednego, który codziennie jest odwiedzany częściej niż wszystkie muzea w Ribeirão Preto razem wzięte. Mam na myśli Geraldo – najlepszą lodziarnię w mieście. Ich lody wyprzedzają smakiem wszystkie, jakie jadłem. Geraldo jest znany z tego, że teksturę jakiegokolwiek owocu potrafi zmienić na lodową, a przy tym zachowuje zarówno jego smak, jak i zapach. Sekret

ŻŁE W PAŁACU, BO PRZY PLACU

Pałácio Rio Branco do niedawna stanowił siedzibą prezydenta miasta. Musiał się on przenieść, ponieważ plac przy budynku był idealnym obozem kempingowym dla protestujących obywateli, kiedy zniknęły kolejne pieniądze. Czasami było tam aż gęsto od taczek.



PINGWIN W TROPIKACH

Pijalnia piwa Pinguim jest najstarszą i najświetniejszą w mieście. Jej symbol sugeruje wyraźnie: serwowane piwo ma temperaturę tak niską, że jedynie kilka stopni dzieli je od wbicia na patyczek i sprzedawania jako deser.

FOT. ALBERT MARCCH



BAZGRANIE PO ŚCIANIE

Brazylijczycy nie lubią nudnych szarości i nierzadko są wdzięczni, gdy ktoś w twórczo-buntowniczym szale doda trochę kolorów zaniedbanej fasadzie. Nawet jeśli nikt nie wie, co miał na myśli.

FOT. ALBERT MARCCH

tych lodów jest tak wielki, że nie powstają w mieście inne lodziarnie tej marki, aby nie trzeba było dzielić się przepisami z podwykonawcami. Zatrudnienie się tam jest prawie niemożliwe, a jeżeli masz ochotę wysłać do nich CV, to pamiętaj, że w Geraldo podpisuje się kontrakt dożywotni. Wśród proponowanych smaków znajdziemy lody pomarańczowe, w trakcie jedzenia których musimy uważać na pestki, oraz niemiłosiernie palące lody imbrowe, którymi starano się mnie zamordować. Niestety ostatnio wycofano lody o smaku ciastek, czego nie potrafię przeboleć.

Jeżeli interesuje cię jeszcze starsza architektura, polecam obejrzenie wspaniałych konstrukcji w kolonialnym stylu. Często wspominają one czasy, kiedy Brazylia miała króla, który mówił z drażniącym portugalskim akcentem. Ich europejski wizerunek i przemieszanie z palmami sprawiają, że poczucie się jak na Półwyspie Iberyjskim, w jednym ze starszych miast i w jednej z droższych dzielnic. Różnica polega na tym, że dziadzius z wózeczkiem sprzedający lody nie kłóci się z pracownikiem sanepidu, strażą miejską oraz brakiem rozsądku o to, dlaczego nie może sprzedawać na ulicy. Nie ma też cen, które chcielibyśmy rozłożyć na raty.

Do takich budynków należy jeden z największych w Brazylii teatrów operowych Dom Pedro II, który wprowadził miasto w *belle époque*. Sądzę, że zasłużył na opis zachowany w tym tonie, zatem: „Okazałość jego fasady w niczym nie urąga wnętrzu, którego misterność ustępuje jedynie świetnej akustyce”. Teatr może pochwalić się miejscem dla 1580 osób, salą luster z kryształowymi żyrandolami oraz ogromnym pożarem w historii. Powody pożaru są dosyć oczywiste, ponieważ miał miejsce w czasach, kiedy światło gasiło się solidnym dmuchnięciem, a wnętrze jest drewniane.

Zaraz obok teatru znajdziemy inną charakterystyczną budowlę, która spełnia ważną funkcję użytku publicznego. Mam na myśli najstarszą w mieście pijalnię piwa. Nazywa się Pinguim (Pingwin), co dowcipnie kontrastuje z upałami panującymi tutaj przez cały rok od godziny 12 do 18. Lokal jest dumą nie tylko miasta, ale także regionu i stwarza przyjemny powód do kontynuacji wieczoru po wyjściu z teatru.

W mieście znajduje się tylko jeden budynek, który przypomina minioną epokę, a którego zwiedzania nie polecam – komisariat policji. Możemy cieszyć się jego zewnętrznym widokiem, siedząc na ławce naprzeciwko i popijając tradycyjną *caipirinba*, składającą się z cukru, alkoholu z trzciny cukrowej *cachaça*, lodu, limonek i większej ilości cukru. Przechodzący obok policjant może co najwyżej zapytać was, czy dacie mu łyka.

Jeśli podczas zwiedzania stracisz orientację, wystarczy, że zapytasz o drogę do *catedral* (katedry), która jest położona w samym centrum. Przypomina typowy kościół katolicki. Niemniej polecam jej odwiedzić nie tylko z powodu panującego w środku chłodu, ale także specyfiki brazylijskiego sacrum, które jest kolorowe, proste i szczerze, zarówno w trakcie mszy, jak i na malowanym sklepieniu. Przed wejściem warto się zastanowić, czego naprawdę chcemy od życia. Wchodząc do kościoła, w którym wcześniej się nie było, należy dotknąć ściany i pomyśleć życzenie. Brazylijczycy wykorzystują ten moment, aby wyprosić znalezienie pracy, zdrowie dla swojego dziecka bądź powodzenie w małżeństwie. Ja także, z zamkniętymi oczami, wielką wiarą i determinacją, złożyłem swoje życzenie, zatem istnieje szansa, że lody o smaku ciastek wrócą do oferty u Geraldo.

PLAC JAK PARK, PARK JAK LAS

Kolejnym stałym elementem infrastruktury są rozmaite efekty pięciuset lat prób ujarznienia dżungli. Mamy tutaj *praças*, czyli odpowiednik naszego placu, porośniętego drzewami niczym park. Natomiast *parque* wygląda jak las z ławeczkami i ogrodzeniem uniemożliwiającym jego zmianę w nielegalną noclegownię. Natomiast tutejszy las – *mato* – nie ma u nas odpowiednika. To dlatego, że w Polsce podczas wycieczki na grzyby nie potrzeba maczety, a najgroźniejszy owad nie potrafi zabić człowieka w czasie, w którym bolid Formuły 1 ledwie rozpędza się do setki. Zatem mamy tu *praça* wyglądający jak park, *parque* wyglądający jak las oraz las wyglądający jak sen Indiany Jonesa. Logiczne, prawda?

Tropikalny klimat sprawia, że drzewa wszystkich trzech są wiecznie zielone i prawie na pewno kilka z nich będzie pokrytych kwiatami. W Polsce zdanie „zimowe kwiaty” brzmi jak tytuł wierszyka napisanego przez nieśmiałego studenta w nadziei na dostanie całusa. Natomiast w Brazylii jest to najnormalniejsza rzecz pod słońcem, ponieważ nawet w środku zimy, w najchłodniejsze lipcowe wieczory, drzewo *ipê* zakwita na różowo.

Jeżeli zechcesz dodatkowo urozmaicić spacer, wybierz się do parku Mayor L.R. Jabali, który został wybudowany w starym kamieniołomie. Mamy tutaj do czynienia z romantyzmem wynikającym z prozaiczności. Możemy podziwiać kilka sztucznych wodospadów opadających ze stromych klifów, co jest jak najbardziej romantyczne. Jednakże powstały one najprawdopodobniej, kiedy robotnikom pracującym na szczycie wzniesienia pękła prozaiczna rura, której nikomu się nie chciało naprawiać.

Pytając o drogę, proszę nie używać nazwy parku, którą podałem powyżej. Nikt jej nie



GLUCHY TELEFON

Stojąca przy zoo budka telefoniczna w kształcie papugi przestała działać lata temu. A i wtedy nie można się było do niej dopchać z powodu tłoczących się tu dzieciaków.

JAPONIA W BRAZYLII

W podziękowaniu dla japońskich imigrantów, którzy kolonizowali ten odcinek dżungli, zbudowano japoński ogród. I prawie milion restauracji z sushi, tak na oko.





GURU GREENPEACE

Curupira to dobry duszek o zadziornym poczuciu humoru, który na co dzień chroni brazylijskie lasy i doprowadza myśliwych do szaleństwa.

KUZYŃ MNIEJ SMACZNY

Cotia to daleki kuzyn capibary. Jest od niej sporo mniejszy, szybszy i mniej smaczny, dzięki czemu może stosunkowo beztrudno biegać od krzaka do krzaka.

zna, ponieważ została ustanowiona niedawno z powodu burmistrza, który pod koniec życia chorował na ostre przerośnięcie ego i chciał koniecznie coś po sobie nazwać. Miejscowi używają starej nazwy Curupira. To imię indiańskiego ducha, który o wiele bardziej zasłużył, żeby cokolwiek po nim nazwać. Wedle legend Curupira ochraniał lasy, dbał o zwierzęta i niemożliwie drażnił kłusowników, którzy próbowali go schwytać. Nasz dobry duszek ma stopy wywrócone na drugą stronę, zatem spacerując, zostawia ślady w przeciwnym kierunku. Jego postać uwieczniono na statui w parku.

Innym miejscem umożliwiającym nam wyobrażenie sobie, jak wyglądało Ribeirão Preto, zanim pojawili się tutaj kolonizatorzy z żyłką ogrodniczą, jest Bosque. Ogromny zalesiony teren położony na najwyższym wzniesieniu w mieście jest widoczny z wielu miejsc w centrum. Spacerując brukowanymi chodnikami udomowionej dżungli, znajdziemy m.in. ogród japoński, zbudowany ku pamięci imigrantów, którzy przez sto lat pomagali

ujarzmiać ten kawałek świata. W stanie São Paulo mieszka najwięcej Japończyków poza Japonią. W supermarkecie zobaczymy drzewka bonsai, w barze napijemy się sake, a restauracji sushi jest chyba więcej od samych Japończyków. Dlatego ogród z azjatyckimi budyneczkami, fontannami i rzeźbą góry Fudzi pośrodku jest jak najbardziej na miejscu.

CAŁUJĄCY KWIATY

Kontynuując spacer, natkniemy się także na ogród zoologiczny pełen miejscowych gatunków. Podczas pierwszej wizyty w Bosque dowiedziałem się wiele o problemach nielegalnego handlu zwierzętami i wysyłaniem ich do domów zmanierowanych Europejczyków. Poczęstowano mnie przy tym wymownym spojrzeniem, jakbym przyszedł na zakupy.

Jednakże nie musimy iść do zoo, aby poznać się bliżej z mniejszymi, lecz rdzennymi mieszkańcami tropików. W każdym zalesionym miejscu w mieście z łatwością zaobserwujemy uroczego ptaszka *beija flor* (kolibra), którego równie czarująca nazwa oznacza „całujący kwiaty”, i bez problemów usłyszymy soczyście zielone papużki, których nazwy zapomniałem, a po tylu latach wstydzę się zapytać ponownie. Jest też bardzo możliwe, że kiedy będziemy rozglądali się po niebie, w tym samym momencie małpka *sagui* gwizdnie nam fistaszki z kieszeni. Wspomnę tylko, że *sagui* jest stworzonkiem zupełnie pospolitym i nosi ten sam status co nasza wiewiórka. Tylko ogonki mają inne i nie gubią tyłu orzechów. I to nie dlatego, że trzeba się naprawdę postarać, aby zgubić kokosa.



Same kokosy także są dosyć problematyczne. Pomimo tego, że palma jest chyba najbardziej popularnym drzewem zdobiącym chodniki, prawie nigdy nie są to palmy kokosowe. Dzieje się tak z trzech powodów. Po pierwsze, palma zazwyczaj ma od 10 do 20 m wysokości. Po drugie, kokosy ważą około 2 do 3 kg. Po trzecie, pod drzewami parkują samochody. Ergo gdyby palmy kokosowe rosły na chodnikach, ubezpieczalnie by splajtowały.

Jeżeli jednak od kokosów wolisz mango, wystarczy pójść pod bank, gdzie rośnie bardzo rozłożyste drzewo. Lubisz papaję? Dwie widziałem pod kościołem. Ananas? Rośnie na chodniku przy barze na rogu. Jabłuszko? Wystarczy iść do supermarketu na dział egzotycznych, importowanych owoców.

W Ribeirão Preto przez dziesiątki lat rosła także kawa. Rosło jej tyle, że miasto stało się nieoficjalną stolicą jej produkcji. Kawę wywożono nieprzerwanie strumieniem czarnych ziaren, co wedle miejskiej legendy dało miastu nazwę. Ribeirão Preto oznacza Czarny Strumień. Co prawda produkcja kawy zakończyła się przez zawirowania historyczne w połowie poprzedniego wieku, jednak cały czas możemy dowiedzieć się, jak wyglądało życie na plantacjach.

W tym celu należy się udać na kampus jednego z najlepszych uniwersytetów Ameryki Łacińskiej – USP, który został utworzony na terenie najbogatszej plantacji należącej niegdyś do „króla kawy” o bardzo rdzennym imieniu Francisco Schmidt. Budynki, będące pierwotnie magazynami, domami

mieszkalnymi bądź willami wypoczynkowymi, zostały przebudowane i są wykorzystywane w celach edukacyjnych. Główna posiadłość pana Schmidta została zmieniona w muzeum kawy i regionu. Obecnie muzeum jest zamknięte i poddawane konserwacji i modernizacji. Na pocieszenie dodam, że odbudowa zaczęła się już dwa lata temu, więc mam pewność, że lada moment zostanie wybrany kolor farby.

Niestety, właśnie opuszczam Brazylię na czas nieokreślony. Przez te kilka lat starałem się jak najlepiej opowiedzieć, jak wygląda ten kraj z punktu widzenia tubylca, a nie turysty. Wyszukiwałem w gąszczu orchidei, zdarzeń i zwyczajów te, o których nie za wiele słyszy się w Polsce, a które warto poznać.

Przyleciałem do Brazylii w trudnym dla tego kraju momencie, kiedy określenie „rozwój gospodarczy” przywodziło na myśl rodzaj liany, a do napisu na fladze „Porządek i Rozwój” chciano dopisać: „kupię tanio”. Mimo tego próbowałem omijać nieprzyjemne zjawiska i opisywać te, które będą trwałe, gdy sytuacja w Ameryce Łacińskiej się poprawi.

Przez te lata czułem się odrobinę zagubiony. Za każdym razem wychodząc z domu, musiałem przypominać sobie, gdzie jestem i co tutaj robię. Na szczęście nieprzerwanie towarzyszył mi także zachwyt nad kolorami tego kawałka świata, tak innego, a zarazem tak podobnego do tego, który znamy. Byłem zagubiony w kolorach. I właśnie tak czuje się człowiek, kiedy potyka się o mango, podciera o palmę, patrzy w górę, a tam tukan goni kolibra. ○



Albert Karch

Podróżnik i pisarz. Do niedawna mieszkał w południowej Brazylii. Pisał o tym, jak czuł się, gdy potknął się o mango, podparł o palmę, spojrzal w górę, a tam tukan goni kolibra.

DWIE DŻUNGLE

Jedna betonowa, druga zielona. Czasami nie wiadomo, która otacza którą. W obu można się równie łatwo zgubić. I nie sposób dociec, która jest bardziej dzika.

Buszujące w buszu

Rafał Sitarz

Każdy chciałby zobaczyć Wielką Piątkę Afryki. Wiele marzy o obserwowaniu polujących lwów, ale nie przyzna się do tego głośno. Niezapomnianych wrażeń dostarcza Wielka Migracja, w której biorą udział miliony zwierząt. Na przestrzeni trzech lat odwiedziłem kilkakrotnie kenijskie parki Masai Mara, Amboseli, Naivasha, Nakuru oraz Nairobi, aby oglądać zwierzęta w różnorodnej scenerii i porach roku.



Antylopa topi, zwana także sasebi, jest łatwa do rozpoznania dzięki charakterystycznym wygiętym rogom z poprzecznymi zgrubieniami. Można ją spotkać w niewielkich stadach, gdy od wczesnego ranka skubie trawę i zioła. Jeżeli pastwiska są zielone, topi potrafi przeżyć kilka dni bez dostępu do wodopoju.



Masai Mara to najbardziej malowniczy z wymienionych wcześniej rezerwatów. Łagodne wzniesienia pokryte zieloną i wypaloną żółtą trawą, na której widać z odległości wielu kilometrów grupy małych kropek – wielkie stada antylop gnu, zebr – to safari jak z folderu. Częstym widokiem są słonie z białymi ptakami na grzbietach. Oczyszczają one skórę olbrzymów z pasożytów.



W oddalonym od Nairobi o kilkanaście minut jazdy Sheldrick Wildlife Trust znajdują schronienie słonie ranione przez kłusowników lub poszkodowane w wyniku konfliktów zbrojnych. Bramy są otwarte dla odwiedzających cały rok przez jedną godzinę dziennie w porze karmienia. Dorosłe osobniki opróżniają kanistry mleka, a mniejsze piją z butli ze smoczkiem.



Przez długie lata wizytówką położonego na północ od Nairobi jeziora Nakuru były tysiące różowych flamingów. Z czasem, gdy tafla wody opadła, miejsce stało się mniej atrakcyjne i ptaki coraz rzadziej odwiedzają to miejsce. Obecnie można spotkać nosorożce, żyrafy, a także widoczne na zdjęciu bawoły afrykańskie. Sierść tych zwierząt ciemnieje z wiekiem – u starszych osobników staje się ciemnobrązowa, prawie czarna.



Jak twierdzą złośliwi, Park Narodowy Nairobi jest najtańszym safari w Afryce. Nie oznacza to, że niewarte odwiedzenia. Wczesnym rankiem można wypatrzeć podążające do wodopojów antylopy, zebry, a także lwy i lamparty. Spotkanie drapieżnika wymaga cierpliwości. Niepowtarzalny jest widok biegających antylop oraz przechadzających się dostojnie żyraf na tle zabudowań wielkiego miasta. Chętni mogą wjechać na teren rezerwatu własnym samochodem.



Na jeziorze Naivasha, w odróżnieniu od rezerwatów, można obserwować ptaki podczas rejsów łódką. Jezioro zajmuje powierzchnię 140 km² i jest otoczone bagnami, atmosfery niczym z horrorów nadaje zaś las obumarłych drzew.



W parku Parku Narodowym Amboseli przy wodopojach przesiadują w grupach pawiany oliwkowe – najbardziej rozpowszechniony ze wszystkich gatunków tych małp. Podchodzą ufnie do samochodów z nadzieją na smakołyki od turystów.



Łagodne wzniesienie w parku Amboseli to jedno z nielicznych miejsc, w których można opuścić samochód, bo rozległa otwarta przestrzeń zniechęca drapieżniki. Jedząc drugie śniadanie, spogląda się na spacerujące w oddali stada słońi, antylop oraz żyraf. Przy sprzyjających warunkach pogodowych na horyzoncie widać biały szczyt Kilimandżaro po tanzańskiej stronie granicy.



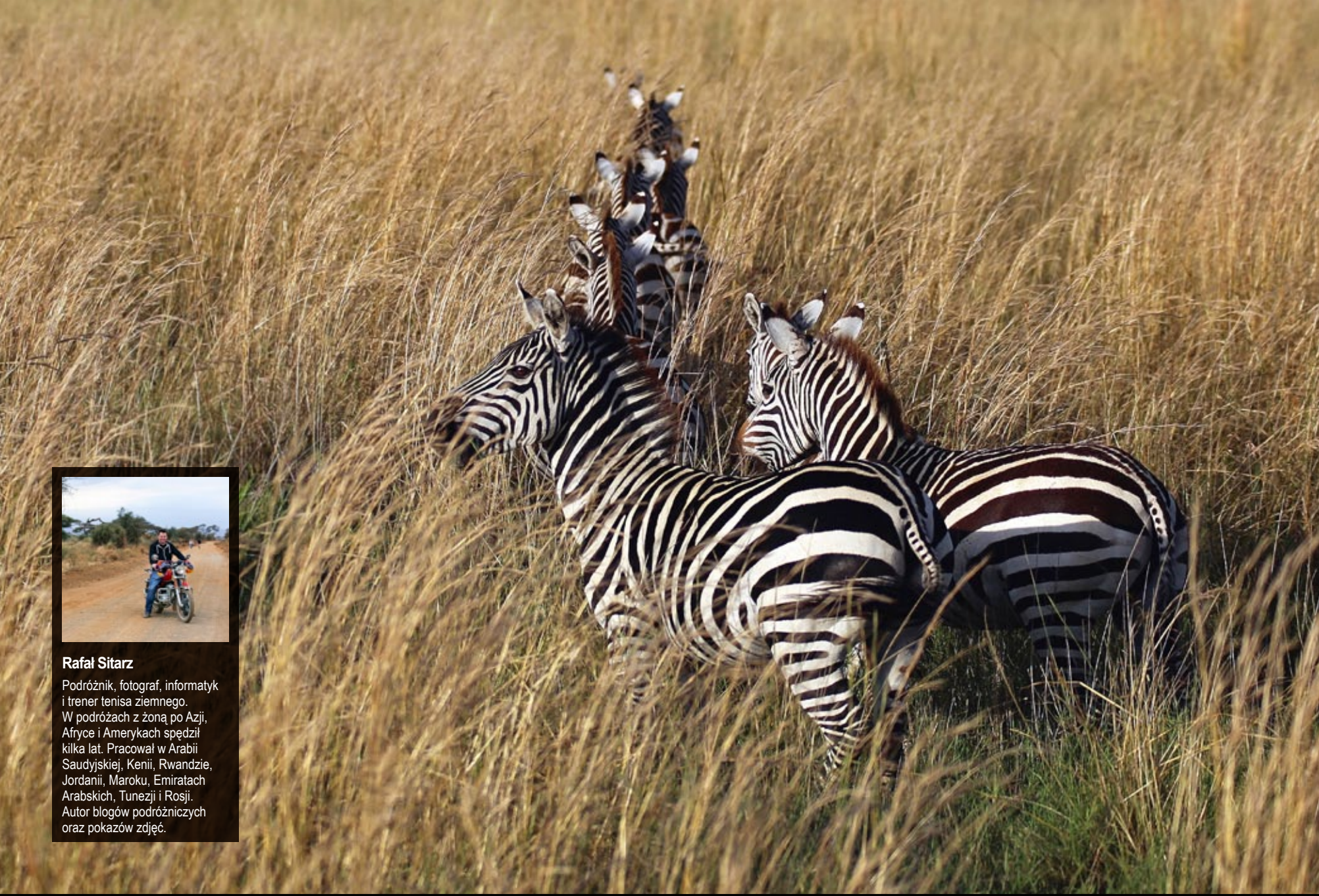
Jeziro Naivasha to raj dla ptaków i ornitologów. Zniszczone drzewa dają schronienie ponad 400 gatunkom. Pływanie motorówką pomiędzy lądującymi lub rozpędzającymi się do lotu stadami to niezapomniane przeżycie.



Hipopotamy to najbardziej niebezpieczne zwierzęta Afryki, co potwierdzają statystyki. Potrafią rozpędzić się na krótkim dystansie do 50 km/h, a ich bronią są długie na trzydzieści centymetrów zęby. Potężne ssaki spędzają większość dnia w wodzie – tak jak tu, w jeziorze Naivasha. Aktywne są nocą.



Lwy ignorują samochody, jednak zaatakują każdego, kto z nich wyjdzie. Pieszy stanowi dla nich śmiertelne zagrożenie, ponieważ jest potencjalnie sprawnym myśliwym. Podobno w wyniku konfliktu pomiędzy Masajami a rządem plemię podjęło decyzję o masowym polowaniu na atrakcyjne dla turystów zwierzęta, i wiele lwów padło ich ofiarą.



Rafal Sitarz

Podróżnik, fotograf, informatyk i trener tenisa ziemnego.

W podróżach z żoną po Azji, Afryce i Amerykach spędził kilka lat. Pracował w Arabii Saudyjskiej, Kenii, Rwandzie, Jordanii, Maroku, Emiratach Arabskich, Tunezji i Rosji.

Autor blogów podróżniczych oraz pokazów zdjęć.

W czerwcu i lipcu rozpoczyna się Wielka Migracja, podczas której ogromne stada wędrują z Masai Mara do rezerwatu Serengeti w Tanzanii. Zebry oraz antylopy gnu maszerują wspólnie. Gnu – bezładnie, natomiast zebry idą gęsiego, rozglądając się nerwowo na boki.



JEDYNE TAKIE NA ŚWIECIE

Prawie 30 ha zieleni w samym centrum stolicy. Do tego architektura zabudowań w stylu art déco i oryginalne podziemne sklepienia. Całość doskonale zachowana do dziś. Wybitny zabytek techniki, który wciąż jest użytkowany zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem. Dzieło o wysokich wartościach artystycznych i historycznych. Miejsce pracy żony inżyniera Karwowskiego z kultowego serialu „Czterdziestolatek”. Oto stołeczny Zespół Stacji Filtrów Williama Lindleya, czyli Filtry Warszawskie.

W drugiej połowie XIX w. stan sanitarny Warszawy był tragiczny. Choć miasto aspirowało do miana Paryża Północy, ulicami płynęły nieczystości, brakowało ujęć czystej wody, szalały epidemie, a choroby zbierały śmiertelne żniwo. Na ratunek miastu pospieszył jego świeżo mianowany prezydent, carski generał – Sokrates Starynkiewicz. Mimo licznych protestów oraz braku zrozumienia ze strony mieszkańców podjął decyzję o budowie nowoczesnego systemu kanalizacyjnego i oczyszczającego wodę. To było ogromne wyzwanie i gigantyczny koszt. Varsavianieści porównują skalę tego przedsięwzięcia do budowy kilku linii metra jednocześnie.

Inwestycja była prowadzona przez słynny ród inżynierów angielskich – Lindleyów. To byli jedni z najwybitniejszych na świecie specjalistów od budowy wodociągów, którzy mieli na swoim koncie wiele realizacji tego typu. Projekt przygotował William Lindley, natomiast umowę na pierwszą serię robót podpisał

z miastem już jego syn, William Heerlein Lindley. Także on stał się autorem projektów szczegółowych i kierownikiem prac, które przebiegały na przestrzeni lat 1883–1915. W proces budowy zaangażowani byli także wybitni polscy architekci i inżynierowie, m.in.: Alfons Grotowski, Józef Słowikowski, Julian Herde.

William Lindley senior nigdy nie narzekał na brak pracy. Tymczasem ciekawostką jest fakt, że dla Warszawy zrezygnował z lukratywnego projektu w australijskim Sydney. Jak to się stało, że chciał budować akurat tutaj? Powód był zgoła prozaiczny. Otóż genialny inżynier dobiegał 70. roku życia, a pod koniec XIX w. podróż do Sydney nastroczała bardzo dużych problemów, także natury logistycznej. Na szczęście więc dla warszawiaków odrzucił kontrakt w Australii i przyjął zlecenie w Warszawie. Dzięki temu miasto zyskało najnowocześniejszą wówczas sieć wodociągową i kanalizacyjną w Polsce.

Ze względu na dogodny położenie oraz pożądany skład podłoża (gлина) pod

budowę Stacji Filtrów wyznaczono obszar pomiędzy dzisiejszymi ulicami: Koszykową, Raszyńską, Krzywickiego, Filtrową. To miejsce zostało wybrane przez władarzy jako najkorzystniejsze. Teren należał do miasta, a dodatkowo – był to najwyższy położony punkt, który znajdował się w ówczesnych granicach ścisłego centrum Warszawy. Dzięki temu woda, z niewielką pomocą wieży ciśnienia, mogła trafiać do odbiorców w tzw. górnym mieście, czyli zamieszkałych powyżej skarpy wiślanej.

Pierwsze filtry uruchomiono już w 1886 r., ale infrastrukturę zakładu rozbudowywano jeszcze po II wojnie światowej. Projekt Lindleyów obejmował nie tylko bieżące potrzeby miasta, lecz także jego przyszły rozwój. Z tego powodu wszystko, łącznie z zielenią, zostało starannie rozplanowane. Dzięki temu system ten, w swoich zasadniczych zrębach, cały czas służy mieszkańcom stolicy. Warto dodać, że istotnym elementem prac projektowych było sporządzenie

szczegółowych pomiarów miasta. Na ich podstawie zostały stworzone pierwsze precyzyjne mapy Warszawy. Dziś uchodzą one za jedno z najwybitniejszych dzieł światowej kartografii, a także – są wykorzystywane do tej pory.

Jak bardzo zmieniła się Warszawa po realizacji projektu Lindleyów? Od razu dołączyła do elitarnego grona zaledwie sześciu europejskich miast, które miały tak nowoczesny system wodociągowy. Wśród nich nie było nawet Paryża. Wodociągi całkowicie zmieniły warunki sanitarne i komfort życia. Za tym sukcesem z pewnością stała także niezwykła jakość materiałów, które zostały użyte do budowy. Lindleyowie bardzo pieczołowicie badali wytrzymałość cegieł. Każda ich partia była poddawana drobiazgowej kontroli. Proces długiego moczenia w wodzie najlepiej przetrwały cegły z Kawęczyna i to one posłużyły za główny budulec. Okazały się tak wytrzymałe, że nadal mają się świetnie – bez żadnych dodatkowych zabiegów konserwatorskich. Grube ceglane mury zapewniają wewnątrz filtrów dodatkia temperaturę, dlatego woda, która pozostaje tu w ciągłym ruchu, nigdy nie zamarza.

Filtry Warszawskie bardzo niewiele ucierpiały podczas działań wojennych. Udało się więc zachować wiele oryginalnych elementów ich wystroju. Między innymi stoły operatorskie z blatami wykonanymi z cennego marmuru kararyjskiego, przepiękne orzechowe drzwi z kryształowymi szybami czy mosiężne balustrady i oświetlenie. Trzeba przyznać, że jak na zakład technologiczny, to bardzo luksusowe wyposażenie. Podobno na ówczesne pieniądze kosztowało ponad 11 mln zł.

Filtry, jak powszechnie są nazywane przez warszawiaków, zostały zmodernizowane pod koniec lat 90. Obecnie są sterowane komputerowo, choć zachowano ich wystrój z czasów, kiedy zakład otwierał w 1933 r. prezydent Ignacy Mościcki. W tej chwili jest to także jedyny na świecie zbudowany przez Lindleyów zakład, który wciąż działa. Co więcej, może się również pochwalić jednym z najbardziej złożonych procesów uzdatniania wody w Europie. Zabytkowe instalacje to zatem tylko jedna strona medalu, druga – to współczesne technologie i rozwiązania na miarę XXI w. Dzisiaj to miejsce łączy w sobie walory wyjątkowego zabytku techniki z nowoczesnym zakładem oczyszczania wody.

ORGANIZATOR
POG
POLISH OUTDOOR GROUP

www.wintercamp.pl

The **COOLEST** winter training camp in Europe!

winter camp

TURBACZ-GORCE

14-17.02.19 // 21-24.02.19

wintercamppl

SZKOLENIA

- bivakowe
- sprzętowe
- skidowe
- medyczne
- lawinowe
- wspinaczkowe

NEVER STOP EXPLORING

Jack Wolfskin

GRONOWSKI

MITSUBISHI MOTORS

PETZL

LESOVIK

Komputronik

ORTOVOX

POZNAJ ŚWIAT POLECA

Zespół Stacji Filtrów Williama Lindleya zaopatrzuje w wodę ponad pół miliona mieszkańców aglomeracji warszawskiej. Jest świadectwem nowatorskiej myśli technicznej dawnych inżynierów i zajmuje ważne miejsce w krajobrazie kulturowym i panoramie stolicy. Miejski system wodno-kanalizacyjny całkowicie odmienił oblicze Warszawy, podobnie jak pozostałe inwestycje przeprowadzone z inicjatywy Starynkiewicza. Trzeba przyznać, że choć reformował on miasto na chwałę Imperium Rosyjskiego, niewątpliwie sprawił, że zacofana wówczas Warszawa przekształciła się w nowoczesny organizm.

Filtry Warszawskie to magiczne miejsce. Kiedy będziecie je zwiedzać, przypomnijcie sobie doświadczenia Masaru

Emoto. Japończyk podczas swoich eksperymentów odkrył, że woda reaguje na nasze myśli, uczucia i słowa, a także je odzwierciedla. To skłania do refleksji, zwłaszcza że ludzki organizm w 70 proc. składa się właśnie z wody. ◉

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyca.

Czas na ferie

Luty to czas ferii zimowych. Góry pokryte śniegiem zachęcają do uprawiania różnych aktywności. Piesze wędrówki, jazda na przygotowanych stokach, pozatrasowe wypadki na skitoury czy freeride to tylko niektóre z możliwości. Do wszystkich warto się odpowiednio przygotować.



NAJWYŻSZY POZIOM KOMFORTU BRUBECK EXTREME WOOL

To najwyższej jakości ciepła bielizna termoaktywna przeznaczona do użytku w niskich lub bardzo niskich temperaturach. Powstała z wełny merynosów. Jest wyjątkowo miękka, delikatna w dotyku, nie gryzie i nie drapie. Produkt został przebadany dermatologicznie – nie podrażnia i nie powoduje uczuleń, nadaje się także dla alergików. Dzięki dużej elastyczności wełny bielizna nie gniece się i nie wypycha. Idealnie dopasowuje się do ciała, jest łagodna dla skóry i nie zostawia śladów dzięki bezuciskowym ściągaczom i płaskim szwom.

Cena: ok. 250 zł
www.brubeck.pl



Cena: ok. 1550 zł
www.columbia.com

SUPERLEKKA BLACK DIAMOND HELIO ACTIVE SHELL

To najlżejsza propozycja goretexowa w kolekcji Black Diamond. Waży jedynie 370 g, a techniczny krój zapewni pożądaną komfort podczas uprawiania alpinizmu, zimowej wspinaczki czy zaawansowanej turystyki. Membrana Gore-Tex® 3L Active C-Knit® Backer, zintegrowany system ściągaczy Coehesive oraz laminowane zamki nie zawiodą użytkownika nawet w najgorszych warunkach pogodowych. Kurtka jest dostępna w trzech kolorach, w wersji damskiej oraz męskiej.



Cena: ok. 1700 zł
blackdiamondequipment.com

INTELIĞENTNA KURTKA COLUMBIA POWDER KEG II DOWN JACKET

W kurtce narciarskiej z kolekcji Titanium wykorzystano technologię Omni-Tech. Wodoodporność, oddychalność i wysoki komfort ciepły zapewniono dzięki naturalnej ocieplinie z gęstego puchu i technologii Omni-Heat 3D. Podszewka z „matrycą” z aluminiowych kropek odbijających ciepło została dodatkowo wyposażona w małe „poduszki” z pionowo tkanych włókien. Włókna te, odsuwając podszewkę od ciała, tworzą termiczną warstwę, poprawiają odbijanie, ułatwiają cyrkulację i utrzymywanie ciepła wytwarzanego przez organizm na optymalnym poziomie 37°C. Odpowiedni krój i elastyczna tkanina gwarantują swobodę ruchów. Kurtka ma wiele usprawnień narciarskich, w tym wentylację pod pachami czy odpinany i regulowany kaptur pasujący do większości kasków. Główne zamki są wodoodporne, a na rękawie znajdziemy kieszeń na karnet. Kurtka jest dostępna w wersji męskiej i damskiej.



DRUGA WARSTWA DEVOLD EGGA

Techniczna bluza, która z powodzeniem sprawdzi się jako druga warstwa odzieży termoaktywnej podczas wielu aktywności. Z pozoru podobna do wielu innych tego typu produktów, wyróżnia się materiałem – to w 100% wełna z merynosów. Wewnętrzna strona bluzy optymalnie rozprowadza powietrze poprzez specjalne kanaliki. Dopasowany krój nie krępuje ruchów, a cecha ta jest dodatkowo wzmocniona przez naturalną elastyczność wełny. Egga ma suwak na całej długości i zapinane kieszenie – praktyczny dodatek, kiedy będzie noszona jako warstwa wierzchnia. Występuje w wersji z wysokim kołnierzem lub z kapturem.

Cena: ok. 800 zł
www.devold.pl

POKROWIEC NA NARTY IZI SPORT

Pokrowiec na jedną parę nart jest wykonany z solidnego, grubego, wodoodpornego materiału, niepodatnego na uszkodzenia i przetarcia. Zapewnia bezpieczny transport i chroni sprzęt przed zarysowaniami i przypadkowymi uszkodzeniami. Można dowolnie dopasować kolor i nadruk.

Cena: ok. 95 zł
www.izisport.pl



UNIWERSALNE K2 WAYBACK 80

Pomogą zdobyć nieodkryte szlaki, poradzą sobie równie dobrze na miękkim, jak i zmrożonym śniegu. Narty mają największą ilość karbonu wśród produktów K2 oraz specjalną wstawkę TiSpyne w środkowej części. Taka technologia zapewnia bardzo niską wagę przy zachowaniu bardzo dobrych właściwości jezdnych. Długości (cm): 163, 170, 177. Promień skrętu: 18 m oraz waga 967 g (dla 163 cm). Konstrukcja: Ti-Spyne, Torsion Box, Hyrbitech Sidewall. Rdzeń: Paulownia Tour.

Cena: ok. 2800 zł
www.larix.com.pl

Cena: ok. 790 zł
adventuresports.pl



LEKKI I WYGODNY POC OBEX SPIN

Kask chroni narciarzy i snowboardzistów. Został wykonany z lekkiego i trwałego materiału EPS, który ma za zadanie pochłaniać energię uderzenia. Dodatkowo całość wzmocniono skorupą z PC (poliwęglanu) oraz ABS w górnej części. Obex jest bardzo lekkim i wygodnym kaskiem, przeznaczonym do całodziennego jazdy, którego rozmiar reguluje się za pomocą pokręteł. Dzięki temu nakrycie głowy można szybko i łatwo dopasować bez konieczności zmiany wkładek. Zadbano również o regulowaną wentylację wewnątrz, a w przedniej części umieszczono dwa otwory, które zapobiegają zaparowywaniu gogli.

ŚWIETNA WAGA I CHŁONNOŚĆ SEA TO SUMMIT AIRLITE

Nowa seria Airlite to ultralekki i superkompaktowy ręcznik, zaprojektowany z myślą o wędrownkach i codziennych aktywnościach. Materiał ręczników z serii Airlite jest o połowę lżejszy od Pocket Towel™. Airlite jest wykonany z mikrowłókna umożliwiającego absorbowanie wody w ilości trzykrotnie większej od jego wagi. Niewielka waga tkaniny pozwoliła na stworzenie dużej powierzchni. Po użyciu ręcznik wystarczy przywiązać do plecaka, a wyschnie bardzo szybko. Worek do przechowywania jest połączony z zatrzaskiem (napą) pętli do zawieszania, aby przechowywać je razem, i umożliwia odłączenie w trakcie używania ręcznika.

Cena: od ok. 40 zł
www.seatosummit.pl



Cena: ok. 365 zł
www.amc.com.pl



ŚWIETNA WAGA I JAKOŚĆ PETZL METEOR

Meteor jest lekkim, kompaktowym kaskiem przeznaczonym do wspinaczki, alpinizmu i skitouringu. Zapewnia ochronę całej głowy, znakomitą wentylację oraz wygodne noszenie zarówno w lecie, jak i zimą. Meteor jest pierwszym kaskiem z certyfikacją CE do skitouringu. Kształt umożliwi optymalne dopasowanie gogli lub osłon twarzy. Waga: 240 g.

WYGODA SALOMON HALOES DOWN HOODIE



Cena: ok. 1200 zł
salomon.com

Techniczna, hybrydowa puchówka łączy zalety syntetycznej ociepliny i naturalnego puchu. Specjalnie wzmocniony materiał chroni puch przed wilgocią, a także przed przesuwaniem, dzięki czemu kurtka zapewnia jeszcze większy komfort termiczny. W strefach narażonych na zmoczenie puch został wsparty syntetyczną izolacją. Dzięki temu kurtka zachowuje świetną pakowność i lekkość oraz jednocześnie jest odporna na wilgoć. Cechy: wypełnienie 700, izolacja puchu 90/10 (puch/pierze), izolacja syntetyczna 80 g/m², waga 477 g (rozmiar M), 4 zamki, kieszenie, elastyczne mankiety, regulacja dolnego obszycia, regulowany kaptur.



Cena: ok. 1250 zł
www.thenorthface.pl

NIEZWYKLE WYGODNA THE NORTH FACE APEX FLEX GTX® 2.0

Stworzona na intensywne wędrowki na szlaku, nowa kurtka Apex Flex GTX® jest niezwykle miękka oraz wyjątkowo lekka. Wodoodporna, oddychająca, trójwarstwowa tkanina Gore-Tex® całkowicie uniemożliwia wilgoci przedostanie się do środka, a miękka warstwa zewnętrzna i elastyczna podszywka to gwarancja najwyższego komfortu. Superlekka konstrukcja zapewnia swobodę ruchów na każdym etapie wspinaczki.

STWORZONY DO PODRÓŻOWANIA WD MY PASSPORT GO

Nowy dysk WD My Passport Go to wytrzymałe urządzenie, odporne na upadki z wysokości 2 m. Dysk SSD został zamknięty w trwałej i wygodnej w obsłudze obudowie (ze zintegrowanym kablem i gumowym bumperem). Dodatkowym atutem jest jego kieszonkowy rozmiar: 95×67×10 mm i waga 55 g. Dysk współpracuje z systemami Windows i Mac OS. Jest dostarczany z oprogramowaniem WD Backup, WD Discovery i WD Drive Utilities. Pozwala na stworzenie w każdym momencie kopii zapasowej zdjęć, zabezpieczonych hasłem i szyfrowaniem.

Cena: od ok. 500 zł
www.wdc.com/pl-pl



Cena: ok. 2800 zł
www.scarpa.com

DLA PROFESJONALISTÓW SCARPA ALIEN RS



To lekkie buty dla zaawansowanych skitourowców, którzy wymagają niskiej wagi przy zachowaniu pełnej kontroli i komfortu w każdej sytuacji. Buty świetnie sprawdzą się podczas wielogodzinnych

podejść oraz technicznych zjazdów. Cholewki zostały wykonane z nowego kompozytu karbonowego Grilamid LFT. Górna część butów jest wykończona wodoodpornym kołnierzem, wygodnie zapinanym na korbkę BOA. Duży przełącznik ski-walk umożliwia szybkie dostosowanie butów do zjazdu lub chodzenia. Lekkie i ciepłe botki wewnętrzne zapewniają wysoki komfort podczas marszu czy zjazdu.



FOT. DARUSZ WITOSZYŃSKI

AKU YATUMINE GTX

Wstyczni miałem okazję testować buty AKU Yatumine GTX w trudnych warunkach, do jakich zostały stworzone. Firma AKU to ponad 30 lat doświadczenia i najwyższa jakość. Jako pierwsza wprowadziła metodę podklejania membrany Gore-Tex®, tworząc w pełni wodoodporne obuwie. Buty produkowane są wyłącznie w Europie i wykańczane ręcznie przez najlepszych specjalistów. Każdej parze jest przypisany indywidualny kod, pozwalający zidentyfikować szewca.

AKU Yatumine GTX to wysokie, wytrzymałe, alpinistyczne buty zaprojektowane w technologii Gore-Tex® Performance Comfort. Przeznaczone są do aktywności w trudnych warunkach pogodowych, takich jak deszcz czy śnieg. Łączą trwałą wodoszczelność i optymalną oddychalność z izolacją. Sprawdziłem je m.in. podczas wejścia na Kościelec w Tatrach.



Cena: ok. 1300 zł
ravenco.eu

Przejścia w głębokim śniegu i wspinaczka z użyciem raków półautomatycznych były czystą przyjemnością. Potem był całodniowy trekking w Beskidach, dosłownie po kolana w śniegu. Buty nie przemokły, a stopy nie były bardzo spocone. Mimo że testowane egzemplarze były nowe, nierozchodzone, to nie miałem żadnych otarć, odcisków itp. To zasługa indywidualnego podejścia do każdego produktu AKU. Ostateczny kształt zostaje uzyskany dzięki specjalnym ruchomym kopytom szewskim, które stosuje się nie tylko przez cały czas formowania wtryskowego, ale także podczas sznurowania, schładzania i zabiegów wykończeniowych. Żaden inny producent obuwia nie utrzymuje kopyta szewskiego wewnątrz buta przez kompletny proces produkcyjny, a zwłaszcza jego dwie ostatnie fazy, które są kluczowe dla uzyskania zamierzonych efektów. To wła-

śnie w fazie schładzania po formowaniu wtryskowym podeszwa przybiera ostateczny kształt. Poliuretan, z którego jest zbudowana, ma na tym etapie skłonność do kurczenia się, przez co cały but traci swój zamierzony kształt, jeśli kopyto szewskie zostanie usunięte za wcześnie.

Buty mają przydatny, wysoki gumowy otok, który spełnia zadania ochronne. Materiał zewnętrzny stanowią nylon, mikrofibra i skóra Perwanger. Z kolei materiał wewnętrzny to wspomniana membrana Gore-Tex® Performance Comfort. Podeszwa zewnętrzna to Vi-



FOT. DARUSZ WITOSZYŃSKI

bram® Mulaz, podeszwa wewnętrzna zaś to podwójnie zagęszczony poliuretan Exoskeleton. W bucie użyto wkładki Custom Fit Pro. Waga buta wynosi 850 g. Do tak zbudowanego obuwia woda i śnieg nie mają szans się przedostać, podczas gdy pot może wydostać się na zewnątrz. Wyraźnie cofnięta haftka boczna w okolicach kostki pozwala na dopasowanie sznurowania do własnych potrzeb oraz regulowanie sztywności buta w tym niewralgicznym punkcie. A przy tym ma oryginalny design. Jeśli zatem szukasz solidnych, trwałych, niezwykle wygodnych butów do poważniejszych aktywności górskich, AKU Yatumine GTX to dobry wybór. Ich precyzyjne wykonanie, dbałość o szczegóły i użycie najwyższej jakości materiałów gwarantują długotrwałe, komfortowe użytkowanie.

Test: Grzegorz Miedziński

Gotowi do lotu

Żeglarstwo lodowe miało początki w XVII w. w Holandii. Pierwsze bojery, czyli pojazdy składające się z kadłuba, płozy i żagla, wykorzystywano do przewożenia ludzi i transportu towarów. Dość szybko jednak zaczęto je stosować rekreacyjnie i stały się popularnym sportem zimowym.

W Polsce żeglarstwo lodowe pojawiło się ok. 1920 r. i szybko zaczęło się rozwijać. Jego głównym ośrodkiem stały się Mazury ze względu na warunki pogodowe, jakie panują tam zimą, oraz liczne zbiorniki wodne. Polska od lat znajduje się w czołówce lodowego żeglarstwa, a Polski Związek Żeglarski nadal dba o rozwój i popularyzację tej dyscypliny.

Przy dobrym wietrze bojer jest łatwo rozpędzić, a jego prędkość może osiągnąć 100 km/h. O poruszającym się bojerze mówimy, że lata. Sterowanie odbywa się za pomocą ruchomej płozy, którą obsługuje się nogami, panowanie nad żaglem zaś pozostaje w rękach bojerowca. Ślizg po naturalnej i nierównej tafli lodu nie jest prosty i wymaga zręczności, ponieważ niedoskonałość podłoża może doprowadzić do wywrócenia lekkiej konstrukcji.

Na zdjęciu: Bojery na zamrzniętym Jeziorze Charzykowskim, 1936 r.







HISZPANIA – W RYTMIE FAL



PERUWIAŃSKIE WODOSPADY



PRZEDWIOŚNIE NA PODLASIU

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krystofiak
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Jerzy Nowiński, Tomasz Owsiany, Anna Szczesna,
Magdalena Zelewska, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiez Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
pnummerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.



ZIELONE WZGÓRZE

CENTRUM REHABILITACJI

84-207 KOLECZKOWO
ul. POD LASEM 1



CAŁODOBOWA OPIEKA Z REHABILITACJĄ



Placówka zapewnia komfortowe warunki mieszkalne oraz całodobową opiekę osobom niepełnosprawnym, przewlekle chorym i w podeszłym wieku.

www.calodobowaopieka.pl
repcja@mentor-reha.pl
tel. 601 371 372, 58 673 22 68

THULE[®]
SWEDEN

➤ **Designed for
life on the go**



Thule Revolve Collection

New

Podróżuj w sposób przyjemny i stylowy.
W nowej linii walizek podróżnych
Thule Revolve znajdziesz niezawodnego
kompana każdej podróży o niespotykanej
lekkości prowadzenia i wytrzymałości.

Bring your life
thule.com